



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-  
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80;  
miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

### Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za  
wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-  
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-  
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

### Kolonia zdrowotna dla słabowitych dzieci

w Brzegach.

Według wykładu D-ra Henryka Dobrzyckiego w Warsz.  
Towarzystwie Hygienicznym.



Kto zechce rozejrzeć się w cyfrach statystycznych, dotyczących zaludnienia Warszawy, szczególnie za ostatnich lat kilkanaście, ten już na pierwszy rzut oka dostrzeże nader szybki przyrost jej mieszkańców. Przyrost ten, jak też same cyfry przekonywują, jest nawet większy, aniżeli by się na pozór zdawać mogło; niezależnie bowiem od naturalnego przyrostu dotyczącego mieszkańców stałych, ludność napływowa tak szybko się zwiększa, iż bardzo niedalekim jest czas, w którym Warszawa miliona mieszkańców dosięgnie, dziś bowiem już  $\frac{3}{4}$  miliona liczy.

Ze skutkiem szybko powstającego przeludnienia i łatwości zawleczenia różnych chorób zakaźnych przez napływającą ludność, stosunki zdrowotne w mieście pogarszać się muszą, to dla każdego jest zrozumiałem. Ponieważ środki, któremi miasto nasze rozporządza pod względem zapewnienia pomocy lekarskiej mieszkańcom niemal stoją w mierze, a jeśli się zwiększają, to bynajmniej nie współmiernie z wzrastającymi potrzebami, powstaje stąd przeto pewien niestosunek pomiędzy temi potrzebami a ich zaspokojeniem. Szpitale nasze, pomimo zwiększenia w nich

liczby łóżek, dalekimi są od zadośćuczynienia istotnym potrzebom ludności; pomoc położnicza jest niedostateczna i o wiele mniej odpowiada potrzebom, niż to miało miejsce przed laty.

Sprawa zapewnienia opieki umysłowo chorym może jeszcze stoi gorzej, gdyż zaledwie  $\frac{1}{10}$  część ich ma możność korzystania z odpowiednich zakładów. Brak przytułku dla konwalescentów, przytułku pomyślanego na wielką skalę, któryby w sposób bardzo pożyteczny mógł być naszym szpitali uzupełnieniem, dotkliwie czuć się daje. Słowem, braki są poważne i liczne; lecz na tem nie koniec. Wszakże z instytucjami społeczno-lekarskimi, mieszczącymi się w obrębie samego miasta, jeszcze się nie wyczerpuje to, co ku podniesieniu zdrowotności ogólnej jest niezbędnem. Inne miasta z tem, co Warszawa zaludnieniem, mają jeszcze na zewnątrz rejonu miejskiego, pomocnicze instytucje zdrowotne, funkcjonujące w warunkach higienicznych, jakich miasto zapewnić nie może: mają sanatoria, mają domy dla konwalescentów, mają schroniska dla różnych kategorii dzieci, mają wzorowe mieszkania zamiejskie, mogące w wielu razach stacyę klimatyczną zastąpić i t. d. U nas tego wszystkiego niema i zaledwie gdzieś rodzi się dopiero poczucie podobnych potrzeb; jednak zaspokojenie ich winno leżeć w zadaniach każdego ucivilizowanego społeczeństwa. Liczne braki na polu społeczno-lekarskim, które znosimy, zbyt są dotkliwe w swych skutkach, aby nie po-

dając wytrwałej działalności ku ich usunięciu.

Do liczby tych należy między innymi brak odpowiedniej instytucji, któraby mogła zapewnić należytą opiekę higieniczno-lekarską słabowitym z natury dzieciom, oraz dzieciom będącym w okresie konwalescencji po ciężkich chorobach, mianowicie takim, dla których pobyt w wielkomijskim powietrzu pomimo najstaranniejszego leczenia stanowi zasadniczą przeszkodę w odzyskaniu zdrowia, a natomiast pobyt w powietrzu zamiejskim, zwłaszcza leśnym, jest jedynym racjonalnym środkiem, zapewniającym szybki powrót do zdrowia i wzmocnienie organizmu.

Chodzi tu zatem nie o dzieci chore, w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz o dzieci z natury słabowite, z mniej lub więcej wybitnym usposobieniem do rozmaitych ustrojowych cierpień. Dzieci niedokrwiste, dzieci odznaczające się wadliwą budową, a szczególnie szczupłością klatki piersiowej, dzieci we wczesnych okresach zołzów lub krzywicy, a nadto takie, które przebyły ciężkie choroby a szczególnie choroby zapalne narządów oddechowych lub też choroby infekcyjne, tak często prowadzące do poważnych następstw ze strony tych narządów, mianowicie wtedy, gdy konwalescencya idzie oporem i nieraz wlecze się niemal bez końca i t. d., te to mówimy przypadki kwalifikowałyby się do zdrowotnej kolonii dziecięcej, i znalazłyby w niej zasadnicze warunki wyzdrowienia, o jakich w mieście nie może być mowy.

Dla tej ostatniej mianowicie kategorii dzieci t. j. dzieci po chorobach infekcyjnych, po przebyciu których, przewiduje się możność powikłań ze strony dróg oddechowych, nie mówiąc już o dzieciach z niedorozwojem klatki piersiowej, instytucya ta mogłaby mieć doniosłe znaczenie z tego względu, że jak przekonano doświadczenie, w każdej zbyt długo trwającej konwalescencji po poważniejszej chorobie, tkwi wielkie niebezpieczeństwo rozwinięcia się suchot płucnych, lub znacznego opóźnienia rozwoju młodocianego ustroju, oraz wadliwości jego na całe życie, przeciwko czemu, jak znówu doświadczenie uczy, walczyć skutecznie można zamiejskim powietrzem, leśnym klimatem i metodycznym stosowaniem zasad higieny.

Z dziećmi powyżej wyliczonych kategorii przez znacznieszą część roku nie wiadomo faktycznie co robić, jeśli im się chce rzetelną pomoc zapewnić.

Do szpitali dziecięcych choćby jaknajlepiej urządzonych lub instytutów higieniczno-leczniczych, gdyby one nawet w mieście istniały ich nie pošlemy, gdyż tam na zasadniczym warunku t. j. powietrzu zamiejskim lub leśnym zbywa; do zakładów leczniczych przeznaczonych dla osób starszych, przeważnie dla chorych piersiowych, także ich nie pošlemy, choćby te nawet w bliskości się znajdowały. Pozostaje tylko radzić, aby dziecko skierowano do jakiejś zagranicznej stacyi leczniczej, co nie zawsze jest wykonalne.

Dziś, w większości przypadków, nawet ludzie bardzo zamożni, gdy się znajdują w podobnym położeniu, nie zawsze są w możności zapewnienia swym dzieciom klimatycznych warunków, w braku odpowiedniej blisko Warszawy położonej instytucyi, bo najprzód, nie każda matka, która ma więcej dzieci potrzebujących jej opieki, rzuci dom i uda się z chorem dzieckiem w dalekie strony, co by w wielu razach pociągnęło za sobą zburzenie domowego ustroju; i z drugiej strony, nie każda matka powierzy chore dziecko nawet najzaufanej osobie, jeśli chodzi o wysłanie do jakiejś stacyi leczniczej zbyt odległej.

Inaczej rzecz by się miała, gdyby podobna instytucya znajdowała się pod bokiem i była o jaką godzinę drogi odległa; tu bowiem matka lub najbliższa nad dzieckiem opieka nie rujnując porządku domowego mogłaby każdej chwili dziecko swe odwiedzić, lub dać mu do towarzystwa kogoś ze swych bliższych w osobie nauczycielki, krewnego i t. p., gdyż i te przypadki należy przewidzieć, w których rodzice lubo żywiliby zaufanie do instytucyi, chcieliby jednakże niezależnie od tego, mieć przy swem dziecku kogoś, ktoby ich mógł zastąpić.

Że racya bytu podobnych instytucyi w pobliżu miast wielkich nietylko dla dzieci słabowitych, lecz i konwalescentów w ogóle, leży jak na dłoni, tego chyba uzasadniać niema potrzeby.

Potężny wpływ czystego, zamiejskiego, a przedewszystkiem leśnego powietrza na szybkość powrotu do zdrowia i wzmocnienia sił jest faktem tak powszechnie znanym, że w tym względzie wszelkie dowody są zbyt liczne; wreszcie gdybyśmy ich chcieli, mamy

je rok rocznie przed oczyma; kogo bowiem interesuje działalność kolonii letnich i dola dziatwy, nie widującej słońca i oddychającej w swych norach zwanych mieszkaniem, ohydny powietrzem, i kto jej się przyjrzał w chwili, gdy się gotuje do czterotygodniowej wycieczki, a potem zobaczy je z powrotem, ten nie może się oprzeć zdumieniu, jak nawet tak krótki pobyt w powietrzu zamiejskim, już jest w stanie dodatnie i wybitne zmiany w ustroju spowodować.

Z obserwacji dokonywanych nad dziesiątkami tysięcy dzieci wysyłanych na kolonie letnie ujawnił się ten fakt, że jeżeli czyste powietrze oraz czynniki klimatyczne mu towarzyszące na organizm każdego wieku bez wyjątku silny wpływ wywierają, to na organizm dziecięcy wpływ ten jest wielokrotnie silniejszy, zdolny wywołać nieprawdopodobne skutki. Dla tego to słusznie twierdzi Benecke, który jak wiadomo, pierwszy dał impuls do zakładania nadmorskich kolonii dla słabowitych dzieci, że za pomocą odpowiednio dobranych czynników klimatycznych, można na każdy organizm korzystnie podziałać, lecz organizm dziecięcy można niemal zmienić i przeinaczyć, tak potężnym jest wpływ czynników klimatycznych w tym okresie życia. Zdanie to można przyjąć nawet *a priori*, gruntując się na prawach biologii, która uczy, iż osiągnięcie lub nieosiągnięcie doskonałości danego typu zależy od układu korzystnych lub niekorzystnych warunków, towarzyszących okresowi rozwoju osobnika.

Myśl założenia w pobliżu Warszawy stałej kolonii dla osłabionych dzieci, lub też analogicznej instytucyi dziecięcej, nie jest nową. Nosił się z nią ś. p. Andriolli, znany nasz ilustrator, który nabywszy w r. 1879-ym piękny kawał ziemi nad Świdrem i uderzony malowniczością tej miejscowości bardzo wczesnie się z nią zwierzył doktorowi Dobrzyckiemu; był nią tak dalece przejęty, że w testamencie swym z d. 18 czerwca 1893 r., włożył na niego obowiązek wytworzenia w Brzegach sanatorium, dając mu prawo rozporządzania Brzegami w tym względzie, o ile uzna za możebne urzeczywistnienie jego życzenia. Ponieważ oprócz terytorium, t. j. miejsca na sanatorium środków na wzniesienie onego nie było, a co ważniejsza, nie było również żadnych środków, mogących zapewnić byt instytucyi, przeto woli zapisodawcy uczynić zadość nie mógł dr D., zrzekając się na rzecz jego rodziny prawa użytkowania Brzegów na cel powyżej wymieniony. Pomimo tego jednak, postanowił w przyszłości, o ile się to tylko okaże możebnym choć częściowo urzeczywistnić ideę naszego nieodżałowanego artysty, przez założenie w Brzegach kolonii zdrowotnej dla słabowitych dzieci.

Z chwilą, gdy panowie: dr. Adam Przyborski i profesor Kosiński stali się współnabywcami połowy terytorium „Brzegów“ urzeczywistnienie myśli tej stało się możebnym, gdyż obaj uznawszy projekt założenia tamże sanatorium dziecięcego za pożyteczny, postanowili odpowiednią przestrzeń lasu na ten cel ze swego terytorium wydzielić i projekt ten popierać. Co do wyboru miejsca, to istotnie, trudno na ten cel odpowiedniejsze znaleźć; niemasz bowiem w okolicach Warszawy, przy-

najmniej w promieniu jednogodzinnym miejscowości, któraby się dała porównać z Brzegami tak pod względem malowniczości położenia, jak i zdrowotności. Brzegi oddalone są od Warszawy o godzinę drogi a od przystanku Świdry i stacyi Otwock około minut dwadzieścia. To, że nie są położone na samej linii stanowi ich dodatnią stronę, gdyż tym sposobem mają zapewnioną ciszę i nie są niepokojone przez 8 pociągów, codziennie przez Otwock przechodzących, jak również nie znajdują pyłu węglowego przez lokomotywy wydzielanego

Teren Brzegów względnie do otoczenia jest wyżej położony, co zauważyć można, jadąc od Otwocka; przybywszy bowiem do pierwszej polany widzimy, iż droga ciągle idzie pod górę. Wyniesienie terenu przy lewym brzegu rzeki Świder, należącym do majątku Brzegi, jest dość znaczne w porównaniu z brzegiem prawym. Wody meteoryczne nigdy w Brzegach nie ulegają zastojowi; grunt bowiem jest *par excellence* przepuszczalny, piaszczysty, a woda zaskórna znajduje się dopiero na głębokości kilkunastu stóp, minimum 18-tu, co przy zakładaniu studzien Nortona w różnych miejscach na terytorium Brzegów stwierdzone zostało.

Dla projektowanej kolonii oddzielną została za pomocą drogi, idącej równolegle od granicy Nadbrzeża (miejscowości sąsiadującej z Brzegami), przestrzeń lasu mająca rozległości 32 morgi i 67 prętów, czyli przeszło włóka. Część ta lasu stanowi czworobok do kwadratu zbliżony. Kształt więc terenu dla przyszłej instytucyi jest bardzo dogodny, gdyż postawione w środku budynki, będą w równej mniej więcej od części obwodowej odległości.

Bliskość rzeki Świder, oraz możność wydobycia wody za pomocą studni Nortonowskich w każdym miejscu, zapewnia stosowanie kąpieli i wszelkich procedur wodoleczniczych.

Dostawa produktów spożywczych jest zapewniona i żadnych trudności nie przedstawia, tak, iż nawet bez wchodzenia w umowę z dostawcami, przyszła instytucya mogłaby sobie dać radę, co również za miejscowością przemawia, zwłaszcza, że na miejscu obfitość jarzyn, mleczywa i duży ogród owocowy się znajduje.

(Dokończenie nastąpi).



Julia Terpiłowska.



## PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Malwa słuchała spokojnie, wreszcie rzekła: — Widzisz! to właśnie sprawia bezkrytyczne poddawanie się pocziwym uczuciom. I wierz mi, że jeżeli się pójdzie śmiało a prosto za naturalnymi popędami, które wewnętrzne poczucie uznaje za piękne i dobre, to one prędzej i pewniej, niż mozolne kombina-

eye logiczne, doprowadzą do silnych przeświadczeń i głębokiego przekonania.

— Niby drogą bezwiednej cerebracyi? — odparł Jur zartobliwie. — Twój system mogłabyś nazwać przeciwstawieniem prymitywizmu precywilizowaniu w sferze ideologii.

— Nie trzeba tego nazywać! — zaprotestowała żywo. — Nie trzeba sztucznie układać systemów z tego, co nie jest przez człowieka mozolnie w mózgu ukutem, tylko przez Boga popędowo w duszę wlanem!

Stanęli w sady w przełazu. Jur pocałował siostrę w czoło.

— Dobranoc apostołce pierwotnych instynktów! — rzekł z uśmiechem. — Kładź się spać, Malwa, bo jutro żniwa zaczynamy, więc trzeba wcześniej wstać.

— O to, to! — zawołała z przejęciem dziewczyna, — w dzień pracować, w nocy spać, i jak najmniej rafinować! Zostawmy rozstrzepianie sofizmatów przeżytem Niemcom, którzy pesymizm wynaleźli, a my — zdrowa rassa — myślimy zdrowo, to będziemy długo żyć... Dobranoc!

W kilka dni potem Malwa, wracając z niedzielnych niesporów, spotkała spacerującą Mewę, która poszła z nią razem i wstąpiła na chwilę do Zielonej Zagrody. Że Jur był w domu, chwila rozciągnęła się na godzinę. Mewa czuła się dnia tego w muzykalnym nastroju, i prześpiewała swoim małym, ale wyraziście akcentującym głosem cały swój repertuar najświeższych kupletów, pustych, płaskich i dwuznacznych — ale modnych. Po jej odejściu Malwa rzekła z uśmiechem, że musi wykadzić pozostałe echa, i zaczęła grać z repertuaru Klary najpierw „Hymn wieczorny“, a potem „Gwiazdę Morza“. Jur słuchał, siedząc pod oknem na przyźbie, a poważne, spokojne akordy widocznie rozdrażniły go tylko, bo gdy Malwa zamykała fortepian, zerwał się nagle — i pomimo spóźnionej pory wyszedł szybkim, nierównym krokiem za wrota. Malwa ściagała wzrokiem jego czarną sylwetkę, sunącą przez wysrebrzone księżycowym blaskiem łany, a gdy znikła w dali, wśród kępy drzew cmentarza, pomyślała z westchnieniem:

— Znowu przyszła na niego zła godzina...

Jur brodził w nocnej rosie wśród mogilnych krzyżyków, potem odpoczął na cmentarnym wale, nakoniec zablądził aż na wzgórze kościelne, wszedł na kamienne schody i siadł u zamkniętych podwoi.

Pod topolami pachniała wilgotna świeżość, wzdłuż bujnej, gęstej trawy snuły się ciemne i jasne plamy od przelazającego z za chwiejnych gałęzi księżycy, na czarnej gąszczu drzew odcinała się dobitnie biała fasada kościoła, prostymi liniami dźwigająca się w górę z kamiennym spokojem, u schodów, tuż przy ziemi, płatały się powoje, jakby komuś pokornie obejmując nogi, do wysokich okien wspinały się czeremchy i pukały leciutko, jak ktoś, co chciałby wejść — a nie śmie.

Jur siedział w ciemnej arkadzie wnijścia, głowę oparł o nabijane gwoźdźmi podwoje i posepnie słuchał tej głębokiej ciszy, po wierzchu której, jak fale nad tonią, płynął szmer liści i szum gałęzi. I zdawało mu się, że w tym rozszepętanym spokoju słyhać przytłumione dźwięki kościelnej pieśni: „Veni Creator, Spirytus...“

Wtem na skrócie drożyny, wiodącej ku plebanii, zamajaczyła w mroku drobna postać. Klara, w powłóczystej luźnej bluzie, ze swobodnie puszczonego warkoczem, przesunęła się pomiędzy topolami, jak nocne zjawisko i przystanąła u kamiennych schodów.

— Niech się pani mnie nie zleknie — odezwał się Jur ze swego wgłębienia.

Klara wbiegła na schody, i spytała żywo:

— Co panu jest? co się stało?

— Nic się nie stało — odpowiedział z cicha; — noc piękna, wyszedłem przejść się — i coś mię aż tu przygnało...

Głos jego brzmiał smutno, więc Klara spytała troskliwie, przysiadając się na stopniu:

— Cóż to pana gania po nocy? znowu myśl jaka niedobra?

— A panią? — zapytał, zamiast odpowiedzi.

Umilkła, zmieszana. Był ostatnim z ludzi, któremu by się przyznała, że i ona miewa swoje czarne godziny, w których sen jej zabiera i serce trawi jedna myśl smutna, — myśl o nim...

— Spać mi się nie chciało — rzekła nareszcie, — więc wyszłam tak sobie.

— Może i pani co dolega? — spytał on teraz ze współczuciem.

— Już nic — odpowiedziała, — u tych drzwi mieszka spokój i pociecha.

— Nie dla każdego...

— Owszem, każdemu, kto tu kołacze, otwiera.

— Nie zawsze... Ja naprzykład, choćbym bił głową o te drzwi gwoźdźmi nabijane, to nie drzwi pękają, ale głowa!

— A jednak jest sposób dla wszystkich niezawodny.

— Jaki?

— Chcieć — i prosić.

— Ja chcę — i prosić próbowałem.

— Żle pan próbował.

— Nie umiem inaczej; czyż to moja wina?

— Kto spróbuje i przestanie, ten źle prosi, bo nie umie czekać zmiłowania.

— Dokądże czekać?

— Nie wiem; nie można naznaczać Bogu czasu Jego łaski.

Jur pomilczał chwilę i rzekł znów:

— Ciekawym, jak pani wytłómaczy, że wiarę niby nakazują, a nie dają jej?

— Owszem, zawsze ją dają tym, którzy się o nią usilnie starają.

— Jakże to się robi?

— Nie przestając prosić o nią, usiluje się myśleć tak, jakby się ją już miało, i działać w jej duchu.

— Autosuggestya!

— Pan za dużo rozumuje, a rozum jest omylny.

— Cóż nie myli?...

— Bóg.

— Cóż mi z tego, jeśli niema między nami stosunku?

— Owszem, głos Jego nie raz szepce w sercu i grzmi w duszy?

— Nie słyszę...

— Bo pan siebie słucha, nie Jego!

— Słuchałbym, gdybym był pewnym, że mówi do mnie — i że jest...

— Ach, jak mi pana żal!...

Nagłym ruchem zakryła oczy rękoma, a on szepnął, wzruszony:

— Panno Klaro! kiedy pani głos drży, a lzy

kapią przez palce, mnie się zdaje, że przestaje myśleć, a zaczynam czuć... Może to wiara?...

Ujął drobne, chłodne rączki, przycisnął do płonącego czoła, i w myśli dodał:

— A może to miłość?...

Ale nie dopowiedział tego, bo i w tem nie dowierzał sobie. Nie chciał jej zwodzić, a nie był pewnym, czy w ogóle jest jeszcze zdolnym kochać, i czy to wrażenie, które go coraz częściej przejmowało w jej obecności, tak odmienne od poprzednio doznawanych, a jednak tak samo słodkie i przejmujące, mogło być teraz lub później stać się miłością?

Panna Klara delikatnie wysunęła rączki z rąk Jura.

— Ja tu przyszłam pomodlić się... — szepnęła.

Uklękła na kamiennym stopniu, w wyłożeniu wyklęzanem przez żebrzących na tem miejscu zmiłowania Boskiego, i złożywszy ręce na piersiach, błada, wiotka, księżycem wysrebrzona, wyglądała jak dusza bez ciała.

— Chce pan zmówić ze mną pacierz? — zapytała, zwracając ku niemu błękitne oczy, pełne smutku i słodyczy.

— Chcę... — odrzekł z cicha, i ukląkł obok niej.

Z osób, zamieszkujących pałac obrywiński, najsympatyczniejszą dla Malwy była pani Rejska. Przyprawiała ona czasem z sobą do Zielonej Zagrody swoich małych wychowalców, aby popatrzyły trochę na życie czynne i proste, którego zupełne przeciwieństwo widziały ciągle w domu, i nieraz naradzała się z Malwą — interesującą się kwestyą wychowania, co do rozmaitych rzeczy pedagogicznej natury.

Pani Rejska była córką emigranta, wychowaną w Anglii, i dzieci pana Wieloleckiego prowadziła systemem angielskim. Ubierały się one i jadały skromnie, ruchu, powietrza i ćwiczeń fizycznych używały z wszelką swobodą, były bardzo karne, ale śmiałe i wesołe, a roztropne i przytomne, chociaż do siódmego roku książkową nauką nie rozwijane.

Pani Mimi, patrząc raz, jak biegły po ogrodzie boso, w dymkowych bluzach, z ogrzałami buziakami, zrobiła wręcz panu Wieloleckiemu przyjacielską uwagę, że dzieci jego są już za duże na to, aby mieć takie toalety i takie maniery. Wielolecki odpowiedział na to imponującym argumentem, że jego dzieci wychowują się zupełnie tak samo, jak synowie lorda Fitzhopa i córki lady Dindonderry. Pani Mimi nie mogła naturalnie krytykować pedagogiki lady Dindonderry i lorda Fitzhopa, ale że nie lubiła pani Rejskiej, więc wpadła na pomysł zakwestyonowania autentyczności owej angielskiej metody.

— Chodźcie-no tu, aniołki! — zawołała z terasy na Jania i Nile. — Chodźcie przywitać się z Tinetką!

Dzieci wpadły na schody, i zabrały się impetycznie do ucałowania ręki ciotki.

— Cóż, dziecieczki, wesoło się bawicie? — zapytała pani Mimi z łaskawym uśmiechem, przybliżając do oczu lornetkę.

— Bawiliśmy się teraz w rozhukane konie, — odpowiedział Jań.

— A teraz — dodała Nila, — będziemy krowami, i pójdziemy na paszę.

— Jakto? przecież nie będziecie jeść trawy?

— Krowy nie zawsze trawę jedzą; nawyrywamy sobie marchwi, — objaśniła dziewczynka.

— Jakto?... surowej marchwi?...

— A bo gotowana na grzędzie nie rośnie! — zawołał malec.

— Możemy już odejść, proszę ciotci? — zapytała Nila, spiesząc do przerwanej zabawy.

— Zaraz pójdziecie, aniołki drogie, tylko pierwszej powiecie mi jaki ładny wierszyk angielski.

— My żadnych wierszyków nie uczymy się! — zaprotestowała żywo Nila.

— I po angielsku nie umiemy! — wykrzyknął Jań, rad, że się egzamin skończy. — Chodź już, Nila! Można, ciotciu?

Pani Mimi dotknęła brzeżkiem warg przystrzyżonych czuprynek, otarła się chusteczką, a gdy dzieci zbiegły ze schodów, rzekła z tryumfem do Wielołęckiego:

— A widzisz, kuzynku! dzieci niby wychowane angielską metodą, ani słowa po angielsku nie umieją!

— Pani Rejska utrzymuje — bąknął trochę zakłopotany, — że rzecz nie na tem polega...

— Więc na czemże? czy na jedzeniu surowej marchwi?

— Ach! czyż ja mam czas na kontrolowanie ich dyety! Mają przecież do dozoru freblankę, z której pani Rejska jest zadowolona.

— Dziwi mię jednak, kuzynku drogi, że ty jesteś zadowolony z pani Rejskiej.

— Widzisz, kuzyneczko, muszę jej robić pewne ustępstwa w kwestyi wychowania dzieci, bo w tem tylko jest uparta; w innych zaś

rzeczach stosuje się ściśle do moich wymagań i dobrze się wywiązuje z zadania.

— W czemże to, jeżeli mogę wiedzieć?

— W dyrygowaniu domem, w recepcyi gości, w dyspozycyi przyjęć.

— Nie zauważyłam, aby to szło tak nadzwyczajnie, i jestem pewna, że Mewa potrafiłaby lepiej.

— Gdzież tam! Mewa lubi mieć dom elegancko urządzone, ale nie lubi zająć się domem. Ona ma wielkopańskie gusta.

— Nieodrodna córeczka... — rzuciła z miłym uśmiechem pani Mimi.

— A przytem — ciągnął dalej Wielołęcki, — pani Rejska bardzo przyzwociła dom reprezentuje, ma bardzo dobre maniery.

— I jeszcze wcale nie źle wygląda na swoje pięćdziesiąt lat, — wtrąciła pani Mimi kwaskowato figlarnie. (Ciąg dalszy nastąpi).



DEOTYMA.

# NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).

(Ciąg dalszy).

Kazał się zanieść na kupę rumowisk,  
Co pod wiszarem do muru przytyka.  
Tam, zachwycony odmianą widowisk,  
Radośnie krzyknął na Wirtemberczyka:

«Hej Mości Xiążę! Nam siedzieć! My chorzy!

«Kaź się wwindować! Tu dobrze, jak w łoży.

«Tylko strzeż głowy, bo niski pułapek.»

— Siedli wygodnie, i zamiast lornety,

W okrąg areny wodząc pistolety,

Strzelali do białych czapek.

Nie oni jedni. Nad wylomną drogą,

Freiherr potrzasał fuzyjką, jak osą,

A gdy ukąsił, to nie lada kogo.

Sam Janczar-aga stał wprawdzie za fossą,

I zdala szturmem kierował uczenie,

Lecz mniejszych Agów było zatrzęsienie.

Tych, znać po stroju; pas u nich był złoty,

A niżej pasa, błyszczące łańcuchy

Biegły w półkola, spadały w uploty,

Jakby przeźrocze fartuchy.

Po tych złotościach mierząc, Liber-baro,

Dwóch ubił; obaj wyglądali młodo.

Teraz mu trzeci wpadł w oko, ten z brodą.

Ale ten stary, i mądrość ma starą;

Nie spuszcza z oczu strzelby tajemniczej.

Strzał padł, — on nie padł, — wystąpił i krzyczy:

— «Czego szczekacie, o psy długoszyje?

«A wy Janczary, patrzycie niezdarnie,

«Aż on wam wszystką starszysznę wybije?

«Weźcie mi zaraz tę psiarnię!»

Rzekł, i porwawszy buńczuk rozchelstany,

Szedł do ataku, za nim huk żołnierzy.

Trudny i zdradny był dostęp do Wieży,

Po rozsypiskach wysadzonej ściany.

Już Azabowie darli się we wnętrze,

Lecz ich wyparto. I teraz, na piętrze,

Sereni groził śród luf, szpad i grotów,

Jak lew stojący u wejścia jaskini.

Tak.... ale czego i czart nie uczyni,

To Janczar uczynić gotów.

Już są w pół drogi.... już u celu drogi....

Doszli do pietra! Tu się, jak rozbitki,

Czepiają brzegów oddartej podłogi.

Wskoczyli. Walczą. Przetrzęsają skrytki.

Aga nie walczy, lecz spojrzeniem szuka,

Gdzie ma zasadzić kij swego buńczuka?

Z ruin się gruba wysuwała belka,

Stercząca w próżni, jak ramię świecznika.

Była w niej dziura od haka, niewielka.

Tam wbiegł, i buńczuk zatyka.

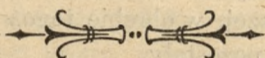
Widzi to Müller Pułkownik. Nie myśli —  
 Pędzi na belkę, łapie go za ramię,  
 Chce wydrzeć buńczuk. Nad otchłanią zwiśli.  
 Cós trzeszczy.... Belka pod nimi się łamie.  
 Spadają obaj w jeden kłęb zwinięci.  
 Aga pod spodem. Nie stracił pamięci,  
 Zatrzymał buńczuk. Prawda, że z upadkiem,  
 Szabli się pozbył. Leży bez obrony.  
 Lecz gdy przeciwnik nasiadł go schylony,  
 Do czapki sięga ukradkiem.

Z czapek Janczarskich, z futrzanej obłóżki,  
 Strzelał u przodu skórzany futerał,  
 Co w sobie łyżkę żołnierską zawierał.  
 Aga ją wyjął — nie dla czeźej pogroźki.  
 Gdy już na gardle czuł klingę szeroka,  
 Dźgnął Niemca łyżką, i wybił mu oko.  
 Tarza się Müller z bólu i zmieszania.  
 Tak marnie kończyć, po tak pięknej walce!  
 Puszczą broń — oczy rękami zasłania —  
 A krew mu leci przez palce.

Aga zakrzyknął: — «Kto z was go powali?»  
 — Wnet Janczarowie zlecieli, jak sępy,  
 I Pułkownika na proch rozsiekali.  
 Nawet z munduru już tylko są strzępy.  
 Teraz, chcą podnieść zwycięzcę. Lecz Aga,  
 Nie może usiąść, napróżno się zмага.  
 — «Już po mnie.» — Mówi. — «Kości połamane!  
 «Niepróżno wczoraj miałem sen proroczy....  
 «Idźcie na bastjon! Ja tu już zostanę.»  
 — Odeszli. — On przymknął oczy.

Przymknął, a widzi krajobraz bladawy:  
 Krzyż nad rozdrożem ramiona rozszerza,  
 Pod Krzyżem chłopka uczy go pacierza.  
 Gdzie się to działo? U Wisły? U Drawy?  
 Czy nad Seretem? Nie wie! Był za mały.  
 Wié, że go ztamtąd Janczary porwały.  
 Życie zatarło ten obraz daleki,  
 Aż dzisiaj znowu do niego się zbliża,  
 Ów Krzyż bladawy, i matka u Krzyża...  
 Z tą wizją, usnął na wieki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czesław Jankowski.

## Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku.

(Ciąg dalszy).

### IV.

#### Kobiety i bohaterki Byrona.

«Miłości kobiet — o! poznania warte,  
 Piękne a groźne, pełne tajemnicy.  
 Kobieta wszystko stawia na tę kartę;  
 Gdy przegra, to jej nic oprócz tęsknicy  
 I żalu życie nie odda rozdarte....»

«Don Żuan,» II, 199.

„.....Imaginacje żywsze, wrażliwsze, zwłaszcza kobiece, malowały go sobie, jako straconego z nieba anioła. I tem piękniejszym był, że straconym. Wagę rzeczywistej piękności fizycznej podnosiło jeszcze wrażenie demonicznej piękności duchowej. Twarz Byrona była jedną z najpiękniejszych, jakie zapamiętano u ludzi wyższego namaszczenia. Stendhal ujrzawszy go w medyolańskiej La Scala, pisze: „Zaskoczyły mnie nagle jego oczy. W życiu mojem nie widziałem nic równie pięknego i pełnego wyrazu. Dziś jeszcze ta wspaniała głowa staje przedemną, ilekroć pomyślę, jakiby wyraz wielki malarz nadać powinien geniuszowi. Nie zdołam nigdy zapomnieć boskiego wyrazu tych rysów...“ Dziwić się tu jeszcze, że bożyszczem był kobiet! Tak szalenie piękny i tak „szatański!“ Dziwić się tu jeszcze stosom listów niewieściech, padającym mu do stóp, kobietom zawołanym i bez woła, rzucającym mu się w objęcia, byle przeżyć bodaj chwilę — z nim!

Powiedziano gdzieś, iż kobiety powinny Byronowi pomnik postawić, nie za to, że się ich tyle nazdradzał w życiu, ale że je takim urokiem opromienił w poezji. Ani słowa, precedens dały niewiasty owe, co w r. 1318-m na własnych barkach poniosły do mogiły zwłoki niemieckiego trubadura Henryka von Meissen, „Frauenlob“ zwanego jak najsluszniej. Ale raz: nie lgną niewiasty wyłącznie do chwalców swoich, przeciwnie, widziano je skarbiące względy tych, co je nielitościwie smagali. Powtóre: ileż bohaterek swoich opromienił Byron urokiem? Dwie, trzy zaledwie. Toć przecie galerya kobiet np. Göthego obfitych w uroczno-anielskie postacie, a jednak bynajmniej nie Gretchen, Klärchen lub Dorotka zjednały pięknemu Wolfgangowi tyle niewieściech serc. Jeżeli mówić o *uroku* bohaterki Byrona, skwapliwie dodać należy, iż opromienił on je urokiem, podbijającym specyficznie — kobiety.

Bohaterki Byrona posiadają przymioty i dzieje akurat takie, o jakich marzą kobiety. Dziś, z biegiem czasu, Gulnary i Zulejki straciły urok dla mężczyzn, przestarzały się. Dla kobiet pozostały ideałem, do którego przyznawały się głośno przed osmdziesięciu laty, któremu dziś jeszcze w skrytości ducha palą wciąż jeszcze bałwochwależe kadzidla. Romantyzm — najwybitniejsza cecha angielskiego poety — przebyło męskie pokolenie, jak epide-

mię i rzuciło za siebie; romantycznymi, jeśli nie w życiu, to w skrytości ducha były zawsze kobiety, nie przestawały być nigdy. A cóż dopiero, gdy lat kilkadziesiąt temu romantyzm pod modną swą władzą trzymał świat cały!

Wszystkie bohaterki Byrona są przede wszystkim — piękne, wszystkie albo utraciły szczęście, albo go szukają, wszystkie żyją w starciu ze światem lub z obowiązkiem, wszystkie kochają bez granic i z po za tajemniczych mogił okrutnego przeznaczenia rzucają czar swój, krepujący mężczyznę. Któżaby kobieta nie pragnęła być — piękną, interesującą, okrutnie powabną, rozkochaną, rozwalającą porządek społeczny, panującą wszechwładnie nad mężczyzną? Ależ to ideał!

Weźmy dla przykładu najohydniejszą postać: Gulnarę z „Korsarza.“ Aby uwolnić z więzienia kochankę, zabija śpiącego, bezbronno człowieka. Proponuje uczynić to samemu Korsarzowi, ale on wzdraga się.

Co? — jeszcze nie śmiesz? — więc ja się odważę.  
 Ujrysz, co ręka kobiety dokaże!

I czar w niej taki, że Korsarz, świadom jej czynu, wstrętnego dlań, idzie jednak za nią w świat, jak niewolnik, przeklinający swą niewolę, a niezdolny więzów tej kobiety skruszyć. Ależ to Dalila z Biblii, Helena z „Illiady“, Kleopatra, Herodiada, Teodora,

Fredegonda, Katarzyna Medycejska!... Tak, ale jakże piękna, interesująca, szalenie kochana i precudownie tajemnicza! Dość powiedzieć, że znika bez śladu z ukochanym... Czegoż chceć więcej?

Rzecz charakterystyczna—wpływ na poezję, wpływ na mężczyzn wywarli bohaterowie Byrona; naśladowano w życiu i poezji Manfreda, Lare, różnych Selimów i Lambrów, rzucano się w wyłom rozkruszony przez Kaina. Zaledwie kilka zwierciadełek poetyckich odbiło postacie Byrona niewieście. Natomiast kobiety rzuciły się całym tłumem naśladować w realnym życiu fikcyjne kobiece postacie, stworzone przez uwielbianego poetę.

I gdybyż naczelnym pierwowzorem była Adah, siostra i żona Kaina! najpiękniejsza postać niewieścia Byrona, słodka, kochająca, poświęcająca się Adah, która *przeklętego* kocha i nie opuszcza, dzieli z nim ucieczkę, dzieli z nim życie tułaczę. Toć to ze szczerozłotego metalu wykuty tak wspaniały i piękny posąg kobiety kochającej. A może osobliwszemi względami kobiet cieszyła się Myrrha, młoda Greczynka, ukochana niewolnica Sardanapala, która zaklina go, by życie gnuśne i rozkoszne porzucił, a zbroił się przeciwko naciągającym wojskom nieprzyjaciół? Zaż gdy Sardanapal zrywa się wreszcie i z pierwszą lepszą bronią w ręku, szalony odwagą, rzuca się w odmęt bitwy, Myrrha woła w uniesieniu, rzucając za nim duszę całą: „Nie! nie wstyd kochać go greckiej dziewczynie! nie wstyd mu oddać siebie!“

Może Haidiz? Może podbiła świat niewieści jej świeżości pełna, nieświadoma siebie, młodociana, rozbijająca namiętność dla Don Żuana?

Chodźli sami, dłoń trzymając w dloni,  
Po muszlach, piasku nadbrzeżnym i żwirze,  
A potem zeszli do skalnej ustroni,  
W której snąć burze pracowały chyże,  
Mistrzowską rękę przykładając do niej  
I wykowały te sale z porfiru.  
Tam siedli spocząc, a splótszy ramiona  
Patrzali, jak dzień na zachodzie kona.

Kilkanaście tam strof jeszcze w II-jej pieśni „Don Żuana,“ idylli tej nieśmiertelnej, co, jak perła, nie spłowiła na obraz i podobieństwo szalów, jedwabi i aksamitów „tureckich historyi“ Byrona. Ale właśnie, że te tureckie historye szły przodem przez świat, kołysząc na wzorzystych makatach rozmaite Zulejki, dokoła których tłoczyły się zachwyconych kobiet zbiegowiska.

Zulejka! córka Giaffira, zakochana w bracie swym Selimie, który okazuje się, że nie jest jej rodzonym bratem, tylko stryjecznym, co rzeczy nie zmienia. Ucieczka, pościg, pochodnie, szcęk broni, Selim pada zabity, a Zulejce serce pęka... Mało tego? Jest Kaled, paż Lary, „co prócz pana nikogo nie widział na ziemi“— i nie odstępował go na krok. I okazuje się, że ów paż, to przebrana w męzkie szaty kobieta. Milion warta fantazja taka! A w „Don Żuanie“ samych kochanek jego pierwszoplanowych na wybór: siedm. Donna Julia, Gulbayaz, Dudu, Leila, lady Adeline etc., etc. Jak tu nie zgodzić się, że przecież nie na same ciernie i głogi szły tak jedna po drugiej! Zazdrości godne i jakie interesujące, a przede wszystkim jakże tu oprzeć się

pokusie pójsia w ich ślady, o! przez ciekawość li tylko. Nadaremnie dobywa Leporello książeczkę swoją, niestety, *non picciol libro*, z zanotowaniami skrupulatnie *cyframi*... poprzedniczek, we wszystkich stronach świata... odzywa się serenada:

Bannis, bannis la crainte —  
J'ai su, par une feinte,  
Eloigner les jaloux.  
Descend, l'amour t'appelle,  
Ce dieu veille sur nous;  
Dôit-on être cruelle  
Avec des yeux si doux!

a gra ją *per bacco!* nie byle jaki przygodny gitarzysta. Gra Byron.

Wbrew wyrobionej Byronowi opinii skończonego libertyna, uwodziciela kobiet, Don Żuana, wbrew legendom o „haremach“ jego i *à la* Lara epizodach życiowych, życie jego bynajmniej kobietami nie przepełnione, a zwłaszcza z bądź jakich względów wybitniejszemi. Jedną George Sand Musseta i Chopina warta półtuzina kochanek Byrona; żadna zaś kobieta nie była dlań muzą tego znaczenia i tak wysokiej podniety, jak dla Krasińskiego Beatrycze lub dla Słowackiego Marya Wodzińska, a Maryla dla Mickiewicza. Tylko, że łatwym do wytłómaczenia zbiegiem okoliczności „kobiety Byrona“ cieszyły się i cieszą wszechświatowym rozgłosem, podczas gdy Delfiny Potockie, Maryle, Śniadeckie i Wodzińskie literatury naszej, w obrębie tegoż naszego piśmiennictwa pozostały.

Mary Duff, Margaretha Parker, Mary Anna Chaworth, pani Spencer Smith, lady Lamb, Maryanna Segati, Margarita Cogni (t. zw. Fornarina)— jak amen w pacierzu znaleźć je w każdej biografii wielkiego lorda, ale w piśmach Byrona, doprawdy, z lupą szukać ich śladu i wpływu. Dwa, trzy ulotne wiersze, strof kilka skreślonych na Malcie („Nie mogąc przebywać gdzie jesteś, słodko mi będzie przebywać tam, gdzie byłaś“), nieco gorętsze westchnienie („Dusza moja we łzach cała szuka z duszą twoją połączenia“), jakiś ustęp w „Childe-Harold'zie,“ napomknienie w „Śnie,“ co najwyżej rozjaskrawienie poematu „Beppo“—oto wszystko. Naprawdę wpływ wywarła na życie i pisma Byrona jedynie hrabina Guiccioli. Na życie bezwarunkowo dodatni, wstrzymawszy go u brzegu przepaści, dobywszy go z gehenny orgii weneckich; na pisma — bardzo problematyczny, a o mały włos, że nie zgubny.

Szesnastoletnia żona sześćdziesięcioletniego hrabiego Guiccioli, była aniołem w ludzkim ciele. Piękna, szlachetna, łagodna, wzniosła, kochająca duszą całą, miłości swej dla Byrona, a zarazem wyjątkowej tklivosti niewieściej wzniosła w lat 44 po śmierci poety pomnik, zaprawdę niepowszedni: dzieło o tysiącu stronicech, będące od pierwszej do ostatniej litery entuzjastyczną apologią Byrona, jako człowieka. Powiadają, że ona to, wpływem swoim wywołała postać Ady w „Kainie“ i Myrry w „Sardanapalu...“ być może, natomiast faktem jest, że jej prośbom ulegając, zaniechał był Byron pisania „Don Żuana“ i gdyby wpływ Teresy Guiccioli przemógł „potrzebę pisania,“ nie mielibyśmy dalszego ciągu jednego z arcydzieł wszechświatowej poezji.

I oto, podobnie jak typowemi bohaterkami Byrona nie są ani Adah, ani Myrrha, jeno *romantyczne* przede wszystkim Zulejki, Gulnary i Parisiny, tak też typowym niewieścim satelitą lorda, najbardziej w charakterze bajronizmu, jest nie kto inny, jeno lady Lamb. Dlaczego? Dla jednego momentu ich wzajemnego stosunku, uderzającego wyobraźnię naszą, jak błyskawica, której światło daje nam od razu to, czegośmy w studyach krytycznych i biografiach szczegółowych szukali: *nastrój bajronizmu*.

Początek roku 1812-go w Londynie. Dwie pierwsze pieśni „Childe-Harolda“ ukazały się w druku i są we wszystkich rękach, na wszystkich ustach. Młody lord, który co tylko wypowiedział w parlamencie pierwszą swą mowę, jest nie dla tego wystąpienia, i nie dla nazwiska, które nosi, ale dla bezprzykładnego debiutu poetyckiego bohaterem dnia. *High-life* londyński wre i kipi pełnym rozkwitem dandyzmu; życie arystokracji zda się skoncentrowane w zebraniach towarzyskich, balach, teatrach, grze, załlżaniu się, amorach, uwodzeniu, pojedynkach. A rej wodzi w tej sarabandzie hulaszczey młody, przepiękny lord, twórca a zarazem bohater roznamiętniającego wszystkich poematu. Szaleją za nim kobiety, rozrywają go sobie salony; cień rzymskiego Petroniusza ożył nad Tamizą.

Ofiarą tej adoracyi powszechnej „Childe-Harolda“ pada starsza od niego o trzy lata arystokratka wielkiej krwi, lady Karolina Lamb, żona Wilhelma Lamba, późniejszego męża stanu, lorda Melbourne, córka lorda Ponsonby, hrabiego Pesborough. Dzika, namiętna, zapalna, samowolna, ekscentryczna, fantastyczna, niespokojna natura, idzie wprost do celu drogą niepowszednią. Pięknego poranku, w męzkim przebraniu hajduczka przynosi Byronowi list. On bierze pismo z rąk wykwintnego posłańca i czyta: „Niewolnikiem twoim—zawsze; kochanką—kiedy ci się spodoba.“ Lady Lamb była niepowszednio piękną; blondynka z czarnemi oczyma i śniadą cerą Hiszpanki. Byron przyjął wezwanie, a ona — dotrzymała obietnicy. Mieli nawet opuścić we dwoje Anglię i schronić się gdzie bądź na — wyspę bezludną. Nie przyszło do tego, natomiast buchnęły rychło sceny gwałtowne, a w zawierusze tych burz dwóch samowolnych i zapalnych natur prysł, głośny na Londyn cały, stosunek, z którego szczytła się wprost ekscentryczna lady, a na który patrzył pobłażliwie i spokojnie mądry jej małżonek. Rozstanie się. Lady Lamb, zrozpaczona, nie zastawszy w domu poety, pisze na białej karcie książki leżącej na stole: *Remember me* (Pamiętaj o mnie!). Byron dopisuje ośmiowiersz, wrywa kartę i odsyła ją lady Lamb. Ośmiowiersz był ostry; kończy się imprekacją: „Nie zapomnim o tobie, ani ja, ani twój mąż, on, któregoś zdradziła, ja, dla którego byłaś szatanem!“

Dość, aby do głębi zranić serce kobiety, serce, nie zasługujące na szarpnięcie tak okrutne. Nie dość na tem. W kilka miesięcy potem Byron żeni się i nie zaznawszy szczęścia przy rodzinnem ognisku, rzuca się napowrót w wir towarzyski. Na którymś balu spotyka lady Lamb. Spotkanie to również burzliwe, jak rozstanie. Lady porywa — jedni mówią:

nóż, drudzy rozbitą czasę kryształową — i pchnięciem w szyję usiłuje odebrać sobie życie. Odratowana, namawia pewnego młodzieńca, aby — zabił podstępnie Byrona, wyzwawszy go na pojedynek. W ślad za tem znów jest u jego nóg i po powtórnej seryi scen i listów piorunujących, Byron opuszcza na zawsze Anglię, podczas gdy lady Lamb zostaje w Anglii, marząc o zemście.

Obiera dla niej sposób, dostępny kobiecie biegle władającej piórem. Pisze powieść „Glenarvon,” w której z błotem miesza lorda-kochanka. Powieść wywołuje niebawem skandal, a przed autorką, o której przygodach wiadano doskonale, zamyka drzwi londyńskich salonów, zatrzesionych, rozumie się, egzemplarzami głośnej powieści. Lady Lamb, wyczerpana temi przejściami, pojedzie na wieś, do przepysznej posiadłości swej Brouckett-Hall i nie już o niej przez lata całe nie słyhać. Natomiast o Byronie w świecie coraz głośniej. Podczas pobytu jego w Wenecyi przetłumaczono na język włoski „Glenarvon’a,” ale cenzor, delikatnością uprzejmą wiedziony, przesłał Byronowi zapytanie, czy zgadza się na puszczenie książki w obieg. W odpowiedzi wydał Byron powieść własnym kosztem.

A teraz następuje ostatni moment tej romantycznej ballady, ostatnie spotkanie twórcy „Don Żuana” z lady Lamb. Byron nie żyje. Zwłoki jego przewiezione do Anglii, nieprzyjęte do Westminsteru, suną się zwolna drogami wiejskimi, otoczone garstką wiernych, z Londynu do Newstead. Kondukt przeciąga bezpośrednio mimo pałacu Brouckett-Hall, z parkowej bramy którego wyjeżdża właśnie amazonka. To lady Lamb, do której nawet nie doszła wieść o śmierci autora „Childe-Harolda.” Pyta: czyż zacz pogrzeb to? — odpowiadają jej: Byrona zwłoki niesiemy... Lady Lamb pada z konia zemdlona — odnoszą ją do pałacu — kondukt przeciąga dalej.

W tem sercu niewieścim miłość dla największego Anglii poety trwała wciąż. I serce to pękło rysą śmiertelną. Potem już dwa, trzy lata powolnej, cichej agonii i lady Lamb w świat zaziemski — odeszła za *nim*.

Miłości kobiet! — o! poznania warte,  
Piękne a groźne, pełne tajemnicy,  
Kobieta wszystko stawia na tę kartę;  
Gdy przegra, to jej nie oprócz tęsknicy  
I żalu życie nie odda rozdarte.  
Za to ich zemsta, jak skok tygryscy,  
Krwawa... lecz i ta zwiększa serca nasy,  
Bo czują same cios drugim zadany.

Odwrómy oczy!... Romantyzm tragicznych serc, krwawych sztyletów, podbalkonowych almawiwów i patetycznych słów obmierzł może ludziom XX-go wieku, jak stare, kopnięcia nogą dopraszające się rupiecie. Odwrómy oczy od przestarzałych gratów, aby sam ich widok smaku nowoczesnego nam nie spacyzył!

A jednak...

## DO NIEJ.

Chcę być twem echem!... Jeżeli twe czoło  
Radość tysiącem rozświetli promieni,—  
Niechaj w mem sercu będzie też wesoło,  
Niech ono szczęściem się mieni.

Chcę być twem echem!... Jeśli na twe oczy  
Upadnie smutku kirowa zasłona,—  
Niechaj me serce ból wielki przytłoczy,  
Niech cień rozkoszy w niem skona.

Chcę być twem echem!... Gdy w okrutnym grobie  
Złożę twe szczątki, spowite żalobą,—  
Niechaj mi serce pęknie w teje dobie,  
Niech duch mój pójdzie za tobą!

E. G.



A. HUE.

## RUSKIN I KOBIETA,

tlómaczyła

Zofia Hartinghova.



(Dokończenie).

Ale wybór ten będzie nieomal zbyt cennym, jeżeli dom zawiera bibliotekę dawnych klasycznych autorów. W takim razie chowajcie przed waszemi córkami Przeglądy i romanse nowoczesne, a puście ją swobodnie do starej biblioteki w dzień dżdżysty i *zostawcie ją tam samą*. Znajdzie ona tam to, czego jej potrzeba, a znajdzie lepiej od was, bo taka jest różnica pomiędzy wyrobieniem charakteru chłopca i dziewczyny, że możecie wykuć pierwszy na wzór, jaki wam się podoba, wykuć go młotem, jak skałę lub bronz, jeżeli materiał jest szlachetniejszy, ale nie potraficie nigdy urobić charakteru dziewczyny według danego pierwowzoru. Rość ona będzie, jak rosną kwiaty; zwiędnie bez słońca, zmarnieje na swojej łądźce, jak biały narcyz, jeżeli nie dacie jej dosyć powietrza i przestrzeni; może upaść i koronę swoją utarzać w pył, jeżeli jej nie dacie należytej podpory w niektórych chwilach jej życia, ale nie ujarzmicie nigdy jej ducha. Musi ona przybrać wdzięczne kształty i iść drogą, którą sama obierze. Zostawcie ją więc samą wśród starych, zapytonych księgozbiorów, jak sarenkę w polu. Ona zna instynktownie lepiej od was trujące i lecznicze własności ziół, a jeżeli uszczknie niekiedy gorzką jaką trawkę, to dlatego, że czuje wrodzoną potrzebę jej smaku, której wy nie podejrzewacie.

Widzieliśmy, jaką rolę odgrywa piękność w zaletach kobiety; powinniśmy też dać jej edukację artystyczną, zastosowaną do jej natury i przyszłych obowiązków. Przestrzegajmy pilnie, aby miała zawsze przed oczyma piękne wzory pożyteczności, prawdy i prostoty, w których tkwi istota prawdziwej sztuki, i aby gruntownie znała każdą sztukę piękną, której się będzie uczyła, tak, aby lepiej jeszcze rozumiała ją, niż wykonywała.

W tem także natura będzie nam wielką pomocą, bo w niej należy szukać piękna; ona bowiem jest typem i najdoskonalszym pierwowzorem doskonałości. Od niej młoda dziewczyna, jeżeli potrafimy należycie przysposobić po temu jej serce, nauczy się zachwytów i zapędu, które są największą rozkoszą i główną potęgą życia. Od niej dowie się, że poznanie tego, co jest piękne i prawdziwe, jest pierwszym krokiem na drodze poznania tego, co dobre i pożyteczne, i że prawa, życie i rozkosz piękna w świecie przyrody wyszły z rąk

Bożych, są tak odwiecznymi i świętymi częściami stworzenia, jak w świecie duchowem cnota, a w świecie aniołów adoracya.»

Zwróćmy jej uwagę na płynną wiotkość oparów i delikatne szczegóły składu mchów i roślin; będzie ona rysowała kwiaty, oddając dokładnie ołówkiem wdzięczny kształt ich łądygi i zagięcia listków; rysunek bowiem ważniejszym jest dla ludzkości od pisma. Rzadko bowiem kiedy człowiek rysuje coś bez pożytku dla siebie i drugich, a rzadko pisze bez straty czasu tak dla drugich, jak dla samego siebie.

Kiedy młoda dziewczyna wyrysuje uważnie pięcioliść kasztana, ułożony w wachlarz, pozna ona według Ruskina zasadę wszelkiej dekoracyjnej sztuki. «Miejcie jeden duży motyw i kilka pomniejszych i połączcie je razem tak, aby jeden górował nad innymi bądź rozmiarem, bądź rolą, bądź zaciekawieniem.»

«Ale Przyroda, którą stawiamy przed oczy młodemu dziewczęciu, powinna być przyrodą *naturalną*, nie zeszepeconą i zbezczeszczoną upiększeniami ludzkimi; taką, w której powietrze nie jest zakopcone dymem lokomotyw i wolne, aby posuwać obłoki na niebie, a nie zgęszczone dla przesyłania depezy; gdzie elektryczność nie czołga się służalczo po ziemi, a lampa Edisona nie kładzie bladej swojej na zarumienione życie twarzy; gdzie dziewczęta tańczą w słońcu, a nie w sztucznym oświetleniu gazowem, a tańczą nie z nędzy, nie dla zarobku, ale z miłości i rozweselenia szczęścia.»

Z współczesnym postępowaniem i wzrostem maszyn, tych agentów brzydoty, jak je nazywa Mistrz, taki krajobraz nie da się łatwo odszukać, a w każdym razie niewiele będzie miał obszaru. Na szczęście, aby rozkoszować się życiem estetycznym, niepotrzeba jest zwiedzać wielu pięknych krajów. Starczy na to wykazać dziecku piękność okolicy, którą zamieszkuje. Jeżeli płynie w niej choć jedna rzeczulka, to niechaj ukocha tę rzeczulkę. Jeżeli okno jej pokoiku jest tak maleńkie, że nocą dostrzega przez nie tylko jedną gwiazdkę na niebie, to niech umiłuje tę samotnicę i przywyknie w każdym przedmiocie dopatrywać właściwą mu piękność.

Wspomnienie piękna jest rozkoszą na zawsze.

Aby kształcić wasze córki, zwróćcie się do szlachetnych Mistrzów i obchodźcie się z nimi dobrze. Zdarza się nieraz, że wasze sługi, ośmielone brakiem względów, jakie okazujecie waszym nauczycielkom, pozwalają sobie traktować je na równi z sobą, »jak gdyby zadanie kształcenia duszy i umysłu waszych córek było podrzędniejszym zajęciem od smażenia konfitur i robienia marynat.«

Jakichże wzniosłych nauk spodziewać się możecie od osoby, którą poniżacie w opinii waszego dziecka i której zdajecie się wyświadczać wielki zaszczyt, pozwalając jej niekiedy zejść do salonu?

Tyle da się powiedzieć o edukacji fizycznej młodej dziewczyny i o jej wykształceniu umysłowem. Teraz pozostaje jej nauczyć tej głównej cnoty, *miłosierdzia*, które jest najpiękniejszym kwiatem jej królewskiego dyademu.

Na to potrzeba jej posłuchać przepisów Mistrza.

Przedewszystkiem powinna ona wyuczyć

się gruntownie ekonomii kuchennej, korzyści i niedostatków zasadniczych składników pokarmów, oraz najprostszego i najłatwiejszego sposobu przyrządzania takowych. Kiedy macie na to czas, idźcie pomagać gotować ubogim rodzinom, nauczcie je wyciągać najlepszą korzyść z każdego produktu, i przyrządzać smaczne i zdrowe potrawy jak najtańszym kosztem. Przyuczajcie je stopniowo do grzecznego i delikatnego obejścia; nauczcie je, aby nawet najgrubszy obrus złożony był starannie, a stół przybrany choćby paroma polnemi kwiatkami.

Jeżeli otrzymacie to, aby bielizna stołowa była czystą, a na niej stały lśniące talerze i półmisek smacznie przez was sporządzonej strawy, to możecie poprosić o pozwolenie odmówienia głośno, krótkiej, dziękczynnej modlitwy po wieczerzy, i na tem ograniczyć na razie wasze zadanie apostołskie.

Przychodźcie w pomoc waszym rówieśnikom i usługujcie ubogim, ale przez litość, małe małpeczki, nieprawie im kazań!... Są oni prawdopodobnie, nie domyślając się tego, stokroć lepszymi chrześcijanami od was, i jeżeli już trzeba, aby ktoś nauczał, to dajcie im mówić i słuchajcie, a uczcie się od nich.

Nie arkady i kolumny świątyni Bóg lubi widzieć przystrojone, ale dusze wasze. Stróście się więc w miłosierdzie, w klejnoty czynów dobrych, a ubierajcie ubogie siostry wasze tem, w co się same ubieracie. Zróbcie sobie z nich przyjaciółki, jeżeli są przyzwoite. Podzielajcie ich uczucia, pracujcie wspólnie z nimi, a jeżeli po tem wszystkim nie znajdziecie przyjemności we wzajemnem obcowaniu wtedy wycofajcie się każde w swoją stronę.

Jeżeli was stać na to, kupujcie suknie zrobione ładnie, z całą akuracją, przez dobrą krawcową, ale niechaj ta dobra krawcowa będzie osobą ubogą, a nie zamożną modystką, mieszkającą w bogatej dzielnicy miasta.

I nie mieszajcie kokieterii z filantropią, nie ludźcie się, że wszystkie wasze stroje zamieniają się na chleb dla zgłodniałych ust. Jeżeli przez pewien czas posługiwać się będziecie daną liczbą szwaczek, każąc im szyć skromne i praktyczne suknie, które nosić będziecie przez połowę zimy, aby je potem oddać biednym, to postąpić po ludzku, wydając w ten sposób wasze pieniądze. Ale jeżeli przyjmiecie też samą liczbę szwaczek, przez też samą liczbę dni na wyhaftowanie kosztownej falbany do waszej balowej sukni, która nikogo potem nie może odziać, to zmarnujecie grosz samolubnie.

Wprawdzie i w jednym, i w drugim wypadku dalsze zarobek ludziom, ale w pierwszym obróciliście ich pracę na korzyść społeczeństwa, a w drugim — li tylko na swoją własną.

Poświęćcie część dnia poważnej ręcznej pracy, jako to szyciu o ile można najładniejszych ubrań dla biednych, którzy nie mają na to dość czasu ani gustu, żeby sami tem się zając.

Nie szukajcie nigdy rozrywek, ale bądźcie zawsze gotowe rozerwać się i zabawić. Najmniejsza rzecz zawiera w sobie rozkosz; każde słowo staje się dowcipnem, kiedy ręce są za-

jęte, a serce swobodne. Ale, jeżeli zabawę weźmiecie za cel życia, to przyjdzie rychło przesyta i nuda, a wszystkie wykrzywiania się komika nie wywołają już uśmiechu na wasze usta.

Jeżeli życzeniem waszych rodziców jest stroić was bogato, to stróście się chętnie i elegancko przez miłość dla nich; ale, o ile to jest w możności waszej, pracujcie codziennie nad ubraniem kogoś uboższego od was. A jeżeli nie możecie tego uczynić, to starajcie się przynajmniej robić coś własnoręcznie, zamiast gnuśnieć w bezczynności. Możecie zawsze śłać sobie same łóżko, zmyć umywalnię i okurzyć przedmioty, które wam służą do codziennego użytku, jeżeli już nic innego robić nie umiecie.

Co się tyczy jałmużny pieniężnej, zostawcie to starszym i wytrawniejszym, a ograniczcie się, jak Atenki podczas procesji opiekuńczej ich bogini, na noszeniu koszów i sypaniu kwiatów dokoła.»

W ten to sposób Ruskin pojmuje i wzywa erę panowania kobiety, wskazuje jej obowiązki i prowadzi ją za rękę wzdłuż różami wysłanej drogi, którą sam jej zaznacza. Sam przewiduje trudności w wykonaniu swoich przepisów; wskazuje jednak cel, do którego każda kobieta dążyć powinna.

Może kiedyś, w przyszłych czasach, rady jego odniosą pożądaną skuteczną, kiedy dusze kobiece dojrzeją na tyle, aby ocenić ich doniosłość, a rzucone przez Mistrza ziarno kiełkować zacznie pod ich wpływem. Wtedy Ruskin wystąpi w świetle proroka lepszej doby.

Zresztą słowa, rzucone w wir kłębiących prądów i idei czasu, kiedy książki, jak «Sesam i lilie,» mające je roznieść po świecie, sprzedają się dziś po trzy tysiące egzemplarzy rocznie, nie będą nigdy słowami, rzuconymi na wiatr. Młoda, żądna wrażeń i czynów dziewczyna, nie znajdzie w nich, jak w dziennikach socjalistycznych, wiadomości o zmowach robotniczych, ani buntowniczych rekryminacji przeciw konieczności pracy, ale te kojące słowa mistrza pokoju: «Jeżeli się wytrwale spełnia powszedni swój obowiązek, to z czasem go się pokocha.»

Nie; dzieło Ruskina nie zmarnuje się w próżni. Nie przebrzmia w puszczy słowa apostoła Piękna, który zapałem swoim pociągnął naród najbardziej [pozytywny w świecie do zachwycania się nad tem wszystkim, co szlachetne i piękne, nie tylko w muzeach i świątyniach, do których mają wstęp tylko już nawróceni, ale w Przyrodzie całej i w życiu powszednim; — Mistrza, który wytworzył całą szkołę artystów, jak Burne Jones, Dante, Rosetti i wielu innych, i który nowym blaskiem pogodnego światła rozjaśnił ducha swoich czytelników, wykazując im, że raz uwidziane Piękno, pozostaje rozkoszą na zawsze dla oczu i dla ducha.

Ferdynand Hoesick.

## NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

V E V E Y .

(Ciąg dalszy).

W tem uczuciu wchodzi się pod kryty zrużdzoną dachówką dach mostu nad fosą, ale uczucie to, na widok wielkiego straganu z różnemi „Souvenirs de Chillon,“ wśród których karty pocztowe pierwsze zajmują miejsce, natychmiast ustępuje innemu uczuciu, mniej poważnemu, które tak się ma do poprzedniego, jak Byronowski „Wieża Chillonu“ do Daudetowskiego „Tartarin sur les Alpes.“ Od tej chwili, z powodu owych nieszczęśliwych kart pocztowych, komiczny bohater Daudeta wciąż staje przed oczyma i otyła swoją postacią przesłania tragicznego Bonnivara. Nierównie więcej, aniżeli o żalonych latach więziennych wielkiego patryoty genewskiego, myśli się o zabawnych przygodach Tartarina, a zwłaszcza o tych kłopotach, jakie miał w czasie swej bytności w podziemiach Chillonu. Wspomnienie to humorystycznej powieści Daudeta jest tak silne, że od chwili, gdy się wchodzi w dziedziniec zamkowy, stacza się z niem psychiczną walkę, a chodząc po odnowionych salach zamku i słuchając stereotypowych objaśnień wcale przystojnej córki portyera (który tymczasem zajęty jest sprzedawaniem kart pocztowych u wejścia), raz po raz ma się okazję do sprawdzenia trafności obserwacji Daudeta, bo nie ulega wątpliwości, że zwiedzanie zamku Chillon w warunkach, w jakich go się zwiedza zwykle, mianowicie w różnojęzycznej gromadzie turystów, nie przyczynia się do podniesienia nastroju: wszyscy zwiedzający — a co za typy rozpoetyzowanych filistrów spotyka się pomiędzy nimi! — usiłują *par force* przejmować się ważnością chwili, co na zewnątrz zwykło objawiać się w ten sposób, że wszyscy sami na sobie starają się czynić wrażenie więzionych Bonnivarów, gdy tymczasem na mnie np. czynili wrażenie Tartarinów. Jest to ogromnie komiczny efekt, i dlatego przy zwiedzaniu pięknych romańsko-bizantyjskich sal zamku, na których średniowiecznym tle łatwo sobie wyobrazić bujne życie książąt sabaudzkich, najczęściej jest się usposobionym do śmiechu, ma się do walczenia ze zbyt dobrym humorem.

Nawet, gdy się schodzi do gotycko sklepionych lochów podziemnych, trudno niekiedy, widząc wyrazy twarzy niektórych sentymentalnych Angielek, lub słysząc różne uwagi *à propos*, nie roześmiać się w duszy, nie pomyśleć o wykrzykniku Heinego: „*O Gott, wie zahlreich ist doch Deine Menagerie!*“ A głównym sprawcą tego nadmiernego dobrego humoru, w jakim się zwiedza zamek Chillon, jest Alfons Daudet: on swym Tartarinem na długi czas ośmieszył te mury, on je pozbawił tej tragicznej powagi, jaką im nadał Byron.

Niezależnie od tego są chwile, podczas zwiedzania zamku Chillon, że się ma oczy otwarte nie na turystów, z którymi się chodzi po



tych wielkich komnatach, a którzy na tem średniowiecznym tle wydają się jeszcze komiczniejszymi, ale na rzeczy, których gdzieindziej zobaczyć niepodobna. Gdyby się mnie kto np. zapytał, co mi się w zamku Chillon najbardziej podobało, wymieniałbym bez wahania widok z niektórych jego okien na jezioro. Podkreślić należy, iż okna te są czysto romańskie, przedzielone kolumnką kamienną. W takie ramy ujęty widok na jezioro, którego błękitna toń oplukuje trzy czwarte murów zamkowych, składa się na obraz, jakich nie wiele widzi się w życiu. Na prawo widzi się całe Montreux i Clarens, które razem z nadbrzeżnymi wzgórzami odbija się w jeziorze, dalej, naprzeciwko, piętrzą się skały Meillerie, bardziej malownicze ztąd, niż z jakiegokolwiek innego punktu, na lewo zaś obejmuje się jednym rzutem oka ujście Rodanu, miasteczko Villeneuve, oraz małą wyspę Ile de Peiltz, która zieleniąc się trzema koronami starych wiązków, dziwnie poetycznie rysuje się wśród szafirów Lemanu. Zachwycony tym widokiem, Byron opisał go w „Więźniu Chillonu“, gdzie bohater poematu, oswobodzony z łańcuchów, wdzierając się po wykutych przez siebie schodach do jednego z górnych okien podziemia, by, jak powiada, raz jeszcze w życiu nacieszyć się widokiem Alp i Lemanu, „raz jeszcze rzewnym, miłośnym na nie spojrzeć okiem.“

Spojrzałem na nie, i te same były.  
Ja się zmieniłem, one nie zmieniły.  
Więczył je zawsze ów śnieg lat tysiąca,  
U stóp ich fale lśniły się Lemanu,  
I zawsze sina i bystro lecała  
Szumnie się woda zlewała Rodanu.  
Słyszałem w górach huczące potoki  
Po pniakach krzewin, po łomach opoki;  
Widziałem zdala miasta mur białawy  
I z bielszym żagle płynące nawy;  
Widziałem i tę wyspę nadobną  
Tak wdzięczną, miłą dla mego spojrzenia,  
Co mi się wówczas zdawała tak drobna:  
Mało co większą od mego więzienia.  
Wyspa ta była uroczej zieleni,  
Jedną, jedyną w wielkiej wód przestrzeni.  
Trzema się drzewy więczyła wzniosłemi  
I z gór płynący wiatr powiewał niemi.  
Bily ją wody, a tysiączne kwiaty  
Stroili wdziękiem różnobarwnej szaty...  
Widziałem rybki igrające w wodzie  
W całej wolności i szczęścia swobodzie,  
Orzeł wysokim lotem w chmurach ginał:  
Nigdy on może tak szybko nie płynął,  
Jak mnie się wówczas z po za kraty zdało.  
I oko moje łzami się zalało.

Widok ten, o ile jest rajskim prawdziwie, gdy się go ogląda z okna którejkolwiek z górnych komnat zamkowych, o tyle Bonnivarowi, gdy nań patrzył z po za kraty więziennej, musiał się wydawać rajem... utraconym.

Same lochy więzienne, w których przez lat kilka przebywał Bonnivard, dziś nie czynią tak posępnego wrażenia, gdyż obecnie powiększono ich górne okna, które dawniej były tylko wązkiemi, okratowanemi strzelnicami. Samo się przez się rozumie, że największe zainteresowanie budzi tu jedna z kolumn, ta mianowicie, do której był przykuty Bonnivard. Gdy młoda córka portiera, wcale niczego sobie blondynka, zatrzymuje się przed tą kolumną, i wskazując na zwieszający się żelazny pierścień, powiada: „C'est ici que l'infortuné Bonnivard...“ — wówczas z ust zwiedza-

jących turystów wyrwa się jedno przeciągłe: „Aa!“ które znów każe myśleć o Tartarinie... To samo przeciągłe Aa! powtarza się raz jeszcze, gdy córka portiera zwraca uwagę na ślady stóp Bonnivara, wydeptane przezeń w kamienną posadzkę dokoła wspomnianej kolumny. Na innej kolumnie, wśród niezliczonego mnóstwa nazwisk, wyskrobanych w miękkim kamieniu, widać i nazwisko Byrona, w blizkiem sąsiedztwie nazwisk Wiktora Hugo, Eugeniusza Sue, Jerzego Sanda i w. in. Na ich widok znowu przeciągłe: Aa! wyrwa się ze wzruszonych piersi zwiedzających, na ich widok nie jedna ręka sięga do kieszeni po scyzoryk, w nietajonej chęci wyskrobania gdzie w pobliżu także i swojego nazwiska, ale przewodnicząca córka portiera, odgadując te intencje, w sposób bardzo stanowczy przypomina zakaz co do uniesmiertelniania nazwisk na ścianach tego poetycznego więzienia. Poetycznym zaś stało się ono dzięki Byronowi, który je tak zaraz na początku poematu swojego o „Więźniu Chillonu“ opisał:

Strasne są głębie Chillonu więzienia:  
Siedm kolumn czarne wspiera ich sklepienia.  
Gockich tych słupów grube, śniade mury  
Smutnie oświeca jakiś blask ponury.  
Ciągłe tam bowiem przez szczelinę ściany  
Wsufa się słońca promyk zabłąkany,  
Promyk ten jakieś zmarłe światło ciska  
Na owe massy jaskini sromotnej  
I jakby drżący meteor bagniska  
Snuje się, czolga po ziemi wilgotnej.  
W każdą tam z kolum jest pierścień wpuszczony,  
W każdym pierścieniu łańcuch zawieszony...

W dzień pogodny, słoneczny, gdy spokojne jezioro zaledwie muska swą delikatną falą mury Chillonu, ów promyk słońca, zagląający przez kratę więzienną do tych ponurych lochów, rozjaśniał je swym złotawym światłem; ale gdy na dworze szalała burza, gdy jezioro szturmowało bałwanami do murów zamkowych, wówczas „trzęsa się ściana, silnym bita wałem,“ a raz po raz podrzucany w górę bałwan ciskał przez kraty zimną pianę do wnętrza lochów. Straszne musiało być wtedy to więzienie. W takich chwilach bowiem — jak opowiada Byron ustami Bonnivara — „gdy nieraz szturmujące w chmurę wyły pod niebem wichry rozhukane,“

Woda Lemanu w głębi stóp tysiąca  
Zciera się, tłucze masy ogromnemi...  
Groźne jeziora toczą się bałwany,  
Dzień i noc z głuchym ważają się loskotem,  
Z strasznym się w górze rozbijają grzmotem...

Wystarczy sobie wyobrazić taką burzę na jeziorze Genewskim, obserwowaną z podwodnych lochów Chillonu, ażeby na samą myśl o tem, krew zcinała się w żyłach... Jakże strasznym blaskiem musiały wówczas błyskawice po przez wązkie, okratowane okna oświetlać te ciemne podziemia! Jakże piekielnem echem musiały się o te wilgotne mury odbijać ryczące w pobliżu pioruny!...

(Dokończenie nastąpi).



## Z listów do „Bluszczu.“

Paryż, w marcu.

Lud paryzki nie może narzekać na brak widowisk.

Niedawno w piękny, jasny, choć chłodny dzień tłustego czwartku od rana do późnej nocy zbite masy ludu obrzucały się kolorowemi *confetti* na wszystkich ulicach, a teraz przyszły sensacyjne dni obchodu setnej rocznicy urodzin Wiktora Hugo, poczem nastąpił nie mniej oczekiwany dzień półpościa.

Więc lud bawił się...

Przynajmniej do zabawy zapraszały go afisz, rozlepione przez Muncypalność Paryża, ale jak to zwykle bywa, wszystkie owe *festes populaires* odbyły się właściwie przy ścisłym jedynie udziale zaproszonych gości, którym z daleka, czasami z bardzo daleka nawet, przyglądały się przy przejeździe tłumy, trzymane w karności przez nieskończone szeregi policji i wojska.

Uroczystości te podzielić trzeba na dwie części: jedną, urządzoną przez rząd, a którą była ranna uroczystość w Panteonie, drugą, którą urządziło miasto, czyli wrogo względem rządu usposobiona nacyonalistyczna Rada muncypalna, z panem Dausset, prezydentem swoim na czele.

Uroczystość w Panteonie była iście wspaniałą.

Cały olbrzymi ten gmach przybrano wewnątrz przepyszniemi draperiami historycznemi z koronacyi Karola X-go, wszędzie z wielkim gustem porozrzucono klombiki kwiatów, a w środku, pod wysoką kopułą, z której zwieszała się, kołysząc się lekko, kwiatowa korona czy wieniec, stał na wysokim piedestale biust Wiktora Hugo, dłuta Dawida d'Angers.

Kiedy zaproszeni goście zebrali się, oczekując na przybycie Prezydenta Rzeczypospolitej, widok ogólny był istotnie niezwykły. Środek nawy, na wprost biustu poety zajmowała szkarłatna trybuna rządowa, z boku zaś zasiedli z jednej strony przedstawiciele uniwersytetów, z drugiej członkowie magistratury. Czerwone, żółte, fioletowe togi, przybrane kołnierzami gronostajowemi, jaskrawo mieniły się w tych łóżach, przypominając jakieś dawne, zeszlowieczne postacie znikłych na zawsze królewskich dygnitarzy. Od złota lśniły, błyskały brylantami gwiazd mundury ciała dyplomatycznego, a dalej czerniły się fraki reprezentantów wszystkich instytucji państwowych Francji, z Izłą deputowanych i senatem na czele.

I podniosłym był moment, gdy olbrzymia orkiestra «Marsylianą» powitała prezydenta Loubet'a.

Jest coś w tym hymnie, jest w nim jakaś wielka moc natchnienia i takiego wzlotu duszy, że dreszcz dziwny mimowoli przebiega ciało, porywając wszystkich w jednym wielkim entuzjazmie.

Program był dość banalny, konwencyonalny i zimno oficjalny.

Po mowie ministra oświaty Lègues, i mowie akademika Hanotaux, pani Bartet deklamowała bardzo wdzięcznie jeden z utworów

poety, ale wstrząsnęła salą pani Second-Weber wypowiedzeniem po mistrzowsku «Steli» Wiktora Hugo. Prawdziwa to tragiczka z Bożej łaski, pełna ognia i porywu, a nie uczenie deklamująca tylko, jak ów ryczący, nienaturalny, wprost śmieszny Mounet Sully, którego patetyczne krzyki sprowadzały mimowolny uśmiech nawet na najbardziej oficjalne i dyplomatyczne usta.

Dostęp do Panteonu był ściśle ograniczony, a karty zaproszeniowe rozsyłało Ministerium spraw zagranicznych. Tu zaznaczyć muszę, że wielkie potęgi europejskie nie przysłały na jubileusz pierwszego poety Francji swych delegatów, co wywołało nawet pewne komentarze, natomiast reprezentowani byli: Grecy, Serbowie, Bułgarzy, wspaniale Czesi, którzy wysłali z Pragi delegację, z burmistrzem Srebem na czele, oraz grono sokołów. Polaków reprezentowało paru młodych ludzi z Koła artystyczno-literackiego.

Po tym rannym obchodzie odbyło się odsłonięcie pomnika.

Znowu tłumy stały na wszystkich ulicach, prowadzących do placu Wiktora Hugo, ale uroczystość widzieli tylko zaproszeni.

Mowy jednak, nawet my, wybrańcy, nie słyszeliśmy, zobaczyliśmy za to niezmiernie nędzny pomnik dłuta Barrias'a.

Doprawdy, rzecz dziwna, że wszystkich sztuk pięknych, kto wie, czy rzeźba nie najwyższej stoi we Francji, artystów w tym kierunku wysoce uzdolnionych jest nader wielu, pomników liczy Paryż chyba jeszcze więcej, ale prawie niema tam istotnie artystycznego pomnika. Na co spojrzeć: Gambetta, Diderot, Broca, Wictor Hugo, Augier i tyłu, tyłu innych wielkich ludzi, uwiecznionych na ulicach Paryża w kamieniu czy brzozi, mogłoby doprawdy wytoczyć miastu i artystom procesy o dyfamację pośmiertną.

Chociażby ten Wictor Hugo!

Siedzi skulony, nędzny, w pozycji dziwacznej, brzydki, a w około niego pobronzowane jaskrawo proszkami brzozi, banalne postacie kobiece, zajęte są różnymi robotami domowymi muz, jak np. kiwaniem w powietrzu palmami i bujaniem na palcu obwarzanków z liści laurowych.

A jednak był artysta, który może nieco przesadnie i cudacznie, zgoda, ale zawsze o wiele artystyczniej od Barrias'a skomponował pomnik Hugo'na — był to Rodin.

Ale zbyt to dziki i niezależny artysta dla konwencyonalnych mieszczuchów, ojców miasta, sądzących tu dzieła sztuki w przerwach od robienia butów i sprzedawania masła, więc pomnik śpi w najlepsze i na wieczne czasy spać będzie w pracowni artysty, a nędzota Barriasowska rozpościera się dumnie na placu publicznym.

Inne uroczystości z okazji rocznicy urodzin poety odbyły się w Hotel de Ville, gdzie dało piękny koncert oraz bal.

Potem na placu des Vosges odbyło się wieńczenie biustu poety przez dziewczynę z ludu, wybraną przez głosowanie wśród robotnic paryskich, przyczem kilkaset dzieci defilowało przed posągami, składając kwiaty.

Plac des Vosges był przepysznie illuminywany. Tysiące kolorowych świateł migają

w około, a tytuły wszystkich dzieł poety świećlanie łśniły w powietrzu.

Miało to być uroczystością ludową.

I znowu byli tylko zaproszeni, a ów lud, dla którego uroczystość tę urządono, trzymano zdala, o kilka ulic odległości kordonami wojska i policji.

Nawet gdy zaproszeni opuścili plac, kordonu nie zdjęto...

Plac był prawie pusty, spacerowali po nim zaledwie mieszkańcy ulic okolicznych, po trybunie harcowały dzieci, światła i kolorowe lampiony paliły się jeszcze, jak po pogrzebie. A lud szemrał i... czekał naiwnie dość długo, czy go puszcza oglądać te illuminacje i obiecane piękności, mogąc tylko mówić w swym niepokoju: «Oto jest mur, za którym coś się dzieje...»

Dzieje się też i to, że po przechwaleniach aż nazbyt entuzjastycznych, przyszło, jak to zwykle we Francji, do obniżenia bóstwa, jakim ma być dla Francji literackiej Wictor Hugo.

Zaczęto więc opowiadać o nim najzłośliwsze anegdoty, z których wynika, że wielki poeta nie odznaczał się ani zbyt wielką moralnością, ani prostotą i skromnością, a był przeciwnie dość rozwiązłym, nawet w późniejszym wieku, czego dowodem sprowadzenie kochanki do domu swego po śmierci żony; co jednak uderza, to wielka chciwość, duma i skąpstwo poety.

Zabawną jest anegdota o kotlecie, danym na śniadanie Karolowi Hugo. Ten ostatni nie dostawał od swego wielkiego ojca ani grosza. Miał tymczasem przyjaciółkę, której w dniu imienin postanowił bądź co bądź coś ofiarować. Wziął więc w jakimś sklepie serwis porcelanowy, który przesłał ukochanej, rachunek zaś wręczył ojcu.

Poeta zrobił ponurą minę, zgromił syna i rzekł:

— Od dzisiaj będziesz jadał na śniadanie tylko jeden kotlet, drugi zaś będzie spłacał dług, któryś u mnie w tak niecny sposób zaciągnął.

W kilka dni potem znalazł się Wictor Hugo w teatrze, obok bardzo miłutkiej kobietki, z którą zawarł znajomość, prosząc o pozwolenie towarzyszenia jej do domu. Tam stając się bardzo natarczywym, przyrzekł, że zrobi dla niej wszystko, o cokolwiek go poprosi.

— Więc przywróć pan drugi kotlet Karolowi, — brzmiała prośba.

\* \* \*

Słowa te piszę w loży prassy zagranicznej w Izbie deputowanych, w czasie obrad nad budżetem, idąc w tym względzie za większością deputowanych, którzy spokojnie, albo i mniej spokojnie rozmawiają, czytają, piszą, najmniej chyba zajmując się tym mówcą, co krzyczy do rozdęcia płuc, prawie bez nadziei usłyszenia słów własnych.

Doprawdy, dziwny przedstawia codziennie widok Izba francuzka. W tym wielkim czerwono wybitym amfiteatrze świecą się łysiny bieleją białe czupryny posłów, widzi się ludzi poważnych, ludzi, nie dzieci, przedstawicieli kraju, kilkuset wybrańców, których ustami przemawia 38 milionów ludzi. A jednak ma się wrażenie, że tam na dole siedzi banda niesfornych uczniaków, którzy korzystają z każ-

dej nieuwagi swego nauczyciela—prezydenta, który głowy odwrócić nie może, żeby wrzask nie powiększał się.

Więc prezydent zrywa się co chwila, rozpaczliwie macha rękoma, bije o stół nożem do przecinania papieru, a w ostateczności chwytając za swój dzwonek, prawie tak wielki, jak tramwajowy, i dzwoni.

Przycicha izba na chwilę. Ale oto jakieś słowo oratora nie podobało się lewicy. Zaczyna się stukanie pulpitemi wprost ogłuszające, ryki nieludzkie, wrzawa rośnie, protesty słychać ze wszystkich ław; jedni chcą słuchać, drudzy przeciwnie, orator wrzeszczy jak najgłośniej, kwestorzy wołają stentorowemi głosami: «Uciszcie się, panowie,» prezydent dzwoni, a na ławie ministrów p. Caillaud spokojnie pociera łysinę i pochylony opowiada coś grubemu, baryłkowatemu Millerandowi, ministrowi handlu.

Doprawdy wierzyć się nie chce, że na tych ławach siedzą przedstawiciele narodu, najwyższa inteligencja narodu, *wybrańcy!*

Wynosi się z tej Izby znowu to przykre wrażenie, że nie poważna odbywa się tam robota, ale wzajemne podminowywanie jeno, zapasy jednostkowe i partyjne, w których zatawiają się najczęściej interesy ogółu.

Zresztą to, co opowiadam, nie jest bynajmniej «burzliwym posiedzeniem,» ale codzienną, zwyczajną gawędą deputowanych, bynajmniej nie wzburzonych i rozdrażnionych.

Zresztą wiele miejsc świeci pustkami, bo wielu z tych panów objeżdza swe okręgi wyborcze, starając się o ponowne wybranie. Ścisną więc wszystkie dłonie, są uprzedzająco mili dla wszystkich, obiecują złote góry, a głównie i przedewszystkiem oczerniają swych współzawodników do ławy deputowanych.

Widziałem też dzisiaj z miejsca mego, jak się odbywa w Izbie głosowanie.

W pewnej frakcji (skrajnej lewicy) siedziało czterech deputowanych, którzy mieli przed sobą kilkanaście pudełek: w każdym z nich, noszącym nazwisko jednego z deputowanych znajdują się kartki białe i niebieskie. Pierwsze oznaczają głos przychylny, drugie odrzucają wnioski.

I oto czterej ci panowie wyjmowali głosy za kilkudziesięciu nieobecnych kolegów i głosy te wrzucali do urny. Tym sposobem mała garstka deputowanych głosuje tak, jak pełna izba.

Przeciw temu stawiano parę dni temu wnioski odpowiedni, ale upadł on, bo Izbie wygodniej z tem legalnem nadużyciem.

\* \* \*

Od robiącej wrażenie szopki dla dzieci Izby, gdzie roztrząsają się losy kraju, przejście do «mszy Izydy» nie jest nadzwyczajnym.

Kilka dni temu otrzymałem bilet, skreślony jak następuje: «Hrabia i hrabina Mac-Gregor zapraszają pana na mszę Izydy, którą odprawią dnia .....

Msza Izydy! w Paryżu!

Izyda czyli Izis, wraz z bratem swym i mężem zarazem Ozyrysem, oraz synem Horusem, stanowi tryadę najważniejszych bóstw staroegipskich. Była ona boginią symboliczną pozornej śmierci przyrody podczas miesięcy zimowych i wskrzeszenia wiosennego. Kult jej,

nader rozciągli, przedostał się do Grecji i Rzymu.

Garść hierofantów nowożytnych, snobów znudzonych i magów salonowych, trochę teozofów i poszukiwaczy wrażeń w mówiło w siebie, że kult Izydy można wskrzesić w metropolii świata, czcząc Izydę, jako boginię przyrody, sił żywotnych, bóstwo, ożywiający tchem swym młode pędy roślinne, wlewające się w pękające pączki kwiatowe, odczuć się dające w zapachach wiosennych, w tym pierwszym dreszczu ziemi, budzącej się po śnie lodowym zimy.

I oto znalazłem się w małym saloniku, wśród kilkudziesięciu osób, w półmroku pozasłanianych okien, przed otwartymi drzwiami do drugiego pokoju, gdzie w środku egipskiego tryptyku widniała lalka, odpowiednio ubrana, wyobrażająca Izydę.

Przed ołtarzem, na stoliku paliły się kadzidła, leżały jakieś srebrne i brązowe przedmioty do kultu niezbędne, a z za ołtarza szła cicha, monotonna melodia, grana na fortepianie...

Powoli wyszła Izydy kapłanka.

Na rozpuszczonych włosach ma na szczycie głowy przytwierdzony drewniany stożek, tron Izydy. Ręce nagie, ciało luźno spowite w białą szatę, na piersiach skarabeuszem barwnym spięte.

Obok niej kapłan, z głową ujętą w czapkę ściśle do czaszki przystającą, z rogiem zagiętym ku górze na czole, w białej szacie, z ramionami nagiemi, na których połyskują, zarówno jak u kapłanki, bransolety. Nadto kapłana okrywa skóra jaguara, pas zaś długi spływa do ziemi.

Ruchy ich są wolne, rytmiczne, mówią po francuzku, źle w dodatku, z silnym szkockim akcentem, przeciągając sylaby, dochodząc aż do płacziwej jakiejś melodi.

«O Izis, bogini sił przyrody, wysłuchaj nas, zejdź do nas, roztoocz swą nad nami opiekę, i nad tym miastem Paryżem, gdzie kult twój, o święta Izis, wznowiono!...»

Wolnemi, kociami ruchami chodzi w koło kapłanka, przeginając się wdzięcznie, za nią sztywny kroczy kapłan, wstrząsając raz po raz metalowemi dzwoneczkami, chrzęst głuchy wydającym.

Wreszcie rozpoczyna się święty taniec, kapłan w urnie podaje tancerce kwiaty.

Ona przechyla się, idzie rytmicznym, tancecznym krokiem pod takt ładnej, choć smutnej i monotonnej melodi, białe kwiaty sypią się na ziemię, a z tryptyku swego ptasia, płaska, kosooka twarz brązowej Izydy patrzy apatycznie, sennie, jak patrzą zawsze w nieskończoność zapatrzone sfinksy ziemi Faraonów.

Potem kapłanka tańczy z grzebieniami, rozczesując niby swe bujne włosy, potem klęka przed Izydą i znowu rozpoczyna jednostajną swą modlitewną formułkę.

A paryscy czciciele Izydy siedzą; panie w wielkich kwiatowych kapeluszach, wtulone w lekkie futrzane kołnierze z połyskliwej szenszyli, panowie świecąc białemi plastronami koszul, wszyscy ze sceptycznym uśmiechem na ustach, patrząc na to nabożeństwo cudaczne.

Żal mi się zrobiło tego czystego kultu Izydy, tam daleko, z przed tysięcy lat, w cie-

mnych czeluściach świątyni odprawianego przez smukłe kapłanki o żółtawej cerze, które w ekstazie życie swe własne niosły nieraz w ofierze zimnym posągom Izydy, zapatrzonej, obojętnej, zimnej i okrutnej, wypatrującej może w przestrzeniach nieskończoności serca gorącego małżonka swego Ozyrysa, którego potwór Seth zabił, ciało na kawałki porąbał i po całej ziemi rozsiał, a Izyda w Byblis tylko niektóre części znalazła.

I śmiesznym wydał mi się ten kult bałwochwalczy u ludzi, którzy tutaj jedno tylko bóstwo naprawdę czcić umieją: siebie.

K. Daniłowicz-Strzelbicki,

## Kronika działalności kobiecej.

— Z listu Eliżki Krasnohorskiej, pisanego do jednej z naszych najznakomitszych autorek, otrzymujemy następujące szczegóły o ruchu kobiecym w Czechach:

System germanizacji, który Prusacy z taką zjadłością stosują przeciw Polakom, oddawna już służy Niemcom za broń i przeciw Czechom także. I w Czechach, jak w Poznańskim cierpią na nim sprawy szkolne przede wszystkim; i tam, na tem właśnie polu toczy się zażarta walka z duszą dzieci, którą system germanizacyjny usiłuje zgnieść i wynarodowić. Otóż Czesi opierają się systemowi temu w sposób godny ze wszelkich miar naśladowania, a tak zarazem skuteczny, że stał się on dla ducha czeskiego twierdzą, o której zdobyciu wątpią sami Niemcy.

Utworzyli mianowicie Czesi, jakoby wał ochronny dla swojej narodowości, przez powołanie do życia „Macierzy Szkolnej“, która w trzech swoich głównych konarach i mnóstwie pomniejszych rozgałęzień stała się Instytucją najżywniejszą w znaczeniu samobrony narodowej. „Macierz szkolna“ powstała w 1880 roku, wydała z siebie w ciągu istnienia swego około stu szkółek początkowych, wiejskich i miejskich, jedno i dwu klasowych; 70 szkół mieszanych średnich; 6 gimnazjów filologicznych i 2 gimnazya realne.

Wszystkie te szkoły mieszczą się w budynkach i gmachach wzniesionych, lub nabytych przez samą „Macierz“, która na ich utrzymanie i opłatę nauczycieli wydaje rocznie ćwierć miliona koron. Cały zaś ten fundusz powstaje z dobrowolnych ofiar społeczeństwa.

Ofiary wpływają za pośrednictwem trzystu przeszło stowarzyszeń pomocniczych, z których 25 kobiecych. Główne z tych stowarzyszeń kobiecych istniejące w Pradze, przelewa rok rocznie do skarbu „Macierzy“ 24,000 koron.

Współrzędnie z „Macierzą“ działają tak zwane „Jednoty“: „Północno-Czeska“ Poszumawska i Morawska. Zadaniem „Jednot“ jest dostarczanie ubogim uczniom książek, odzieży, opłat wpisowych, a nawet i wikt. Organizacja jest tak rozległa, a zarazem tak ściśle obejmująca kraj cały, iż niema wprost dziecka w szkolnym wieku, któreby pozbawionem było środków i pomocy naukowych.

Germanizacja wchodziła niegdyś do rodzin czeskich głównie przez kobiety. Pomyśleć tylko, że w całych Czechach nie było do 1871 roku ani jednej czeskiej szkoły dla dziewcząt starszych nad lat 14. Otóż w 1871 roku powstaje „Związek zarobkowy kobiet czeskich“, którego pierwszym czynem jest usunięcie tego groźnego źródła germanizacji rodzin, przez założenie wielkiej szkoły przemysłowej, tudzież szkoły wyższej dla dorastających dziewcząt. W parę lat później powstaje sta-

raniem „Związku“ seminaryum nauczycielskie dla panien, pragnących się sposobie do pracy pedagogicznej. Obecnie szkoły „Związku“ mają rocznie 70 uczenie, zatrudniają 53 nauczycielek i nauczycieli, obracając funduszem rocznym 60,000 koron. Po pierwszych próbach odrodzenia narodowego szkolnictwa w Pradze, powstała wyższa szkoła dla dziewcząt w Chondymiu, gdzie obywatelstwo z własnych funduszy wzniosło gmach odpowiedni, tudzież w Bonie, założona przez Stowarzyszenie kobiece „Wiosna.“ Szkoła ta połączoną została obszernie z Liceum żeńskim i mieści się w czterech gmachach, stanowiących własność Stowarzyszenia. W Ołomuńcu hr. Pötting ofiarował 160,000 koron na założenie wyższej szkoły dla dziewcząt czeskich, oraz pałac swój, na utworzenie w nim internatu. Najuboższą i najmłodszą szkołą czeską jest gimnazjum żeńskie, założone w Pradze przez Stowarzyszenie kobiece „Minerwa“ w 1890 roku. Ma ono 126 uczenie i rozporządza 13,000 koron rocznego dochodu.

Oto jest w głównych zarysach obraz owego ochronnego wału, którym obywatele i obywatelki Czech bronią dzieci swoje od germanizacji.

— W kantonie Waadt, w Cery, panna Suszczińska została asystentem naczelnego doktora w kantonalnym szpitalu dla obłąkanych. Szpital ten stanowi część kliniki Uniwersytetu Lozańskiego.

— Niezwykły jubileusz obchodzono w Wiedniu dnia 2-go b. m. Trzy tysiące kobiet, zajętych w dziale telegrafów państwowych, uczciło 30-lecie pracy kobiecej na tem polu. Minister handlu, Banhaus, w r. 1872-im po raz pierwszy w Austrii powołał kobiety do zajęć przy telegrafach państwowych. Liczba owych pierwszych telegrafistek wynosiła 40.

— Pani Selma Franke, znana w pismach europejskich pod poprzednim swem nazwiskiem: Selma Otto-Weill, osiedliła się w Ameryce i założyła w Nowym-Yorku klub dla kobiet, mających na celu zapoznanie się z wybitnemi dziełami literatury wszechświatowej.

— Praca nad oświatą i zmienieniem losu kobiet w Indyach, uprawianą jest gorliwie przez osiadłe tam przedstawicielki wyższych sfer Anglii. Znacznym i nader korzystnym wpływem zyskała pani Chondhury przez wydawany własnym kosztem tygodnik „Anthapur“, oraz przez swą znakomitą wymowę.

— Dziennik, poświęcony sprawom kobiecym, „The Ladies Magazine“, wydawany w języku angielskim w Madrasie przez panią Kamalę Sathianadin, coraz więcej zyskuje na popularności. Wydawczyni posiada uniwersyteckie wykształcenie i doskonale umie, ku ogólnemu pożytkowi, z wiedzy swej korzystać. Znaczną liczbą miejscowych kobiet pracuje w wyżej wzmiankowanym dzienniku, który na polu reformy w życiu kobiet indyjskich nie małe już położył zasługi. Z. S.

### Treść numeru:

Kolonia zdrowotna dla słabowitych dzieci w Brzegach, przez dra Henryka Dobrzyckiego. — Przystań, powieść współczesna, przez J. Terpiłowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: IV. Kobiety i bohaterki Byrona, przez Czesławę Jankowskiego (ciąg dalszy). — Do niej (wiersz), przez E. G. — A. Hue: Ruskin i kobieta, tłumaczenie Zofii Hartinghowej (dokończenie). — Nad wodą wielką i czystą... przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Z listów do «Bluszczu»: z Paryża, przez K. Daniłowicza-Strzelbickiego. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz drugi powieści Matyldy Serao p. t.: «Siostra Joanna.»

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 31). — Przepisy gospodarskie. Do numeru bieżącego dołącza się też Tablica krojów.



**FABRYKA BISKOPIÓW**  
Cukrów deserowych i Czekoladek  
**F. Anczewskiego**

w Warszawie, ulica Niecała № 4.

Poleca łaskawej uwadze:

Jajka Cukrowe, Czekoladowe, Attasowe i inne. Baranki różnej wielkości. Stoliczki ze świeconem z marcepanów. KWIATY cukrowe, Maczki, Masy do przekładania ciast. Skórkę pomarańczową, Cykatę i Owoce.

Jak również wielki wybór codziennie świeży. h

Biszkoptów, Cukrów i Czekoladek.



**FABRYKA**  
**PIANIN**

**T. Barszczewski**

Koszykowa 38.

**W. Golińska**

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii

**BRONZY, ALBUMY,  
NESESERY,  
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,  
RAMKI.**

NOWE UTWORY  
**MARYANA GAWALEWICZA**  
**NA SKRAWKU ZIEMI**

Jóśl. — Laureatka.

Wydanie ozdobne. Cena rb. 1.35.

**WARSZAWA**

Powieść społeczno-obyczajowa  
3 duże tomy rb. 3.

Nakład JANA FISZERA w Warszawie  
№ 9. Nowy-Świat № 9.

SKŁAD  
PERFUMERYJNO-GALANTERYJNY  
**MARJI BOJDAKOWSKIEJ**

Warszawa, Chmielna № 21.

Poleca znaczny wybór galanterii oraz perfumeryj fabryk krajowych i zagranicznych.

SZKOŁA KROJU  
**I. GRABSKIEJ**

CHMIELNA № 49.

Metoda własna, dyplomowana w Paryżu, bez linijek i poprawek krajać można wprost z materiału. Patenty cechowe. 14

WYDAWNICTWA T. H. NASIEROWSKIEGO.

NABYWAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH:

Anegdoty z życia **ADAMA MICKIEWICZA**

w oprawie 60 kop.

Co ojciec Kaziowi o **MICKIEWICZU** opowiedział

z wyborem poezji dla dzieci: Powrót taty. — Pani Twardowska. — Zosia. — Bajki i t. p. Cena kop. 5.

**ODYNIEC Edward Antoni.**

Legends: Z życia św. Franciszka z Assyżu. — Pacierze. — Momento Mori Trzy wiśnie. Cena 5 kop.

**KOBIETA.**

Zbiór aforyzmów, Myśli, Zdań i przysłów o kobiecie. Zebrał Agricola Prosper Doświadczyński. Cena 20 kop.

Skarbczyk Deklamacji.

WYBÓR POEZJI DLA MŁODZIEŻY.

Zebral Swojostaw.

Cena 50 kop., w oprawie 60 kop.

**HELISTAN (Szkice i Obrazki.**

I. Żydzi na wsi. II. Obrazki kolejowe. III. Obrazki wiejskie, z ilustracją Ark. Mucharski. Cena 75 kop.

Poezje **TFOFIŁA LENARTOWICZA:**

Błogosławiona. — Zachwycenie. — Chata pod śniegiem. — Dzieci. — Złota kaczka. Cena 20 kop.

**Coppée.** Poezje: Błogosławieństwo. Głowa Sultanki. — Romans Joanny i inne. Cena 25 kop.

**Karpiński Franciszek.**

Poezje: Laura i Filon. — Bajki. — Sielanki. — Pieśni nabożne. — Powrót na wieś. Cena 5 kop.

Brodziński Kazimierz **WIESŁAW** Cena 5 kop.

**ALOIZY ŻÓŁKOWSKI.**

Momus i Podpourri

Cena 60 kop.

**DJALOGI, MONOLOGI I DEKLAMACJE.**

Zeszyt I 20 k. — Zeszyt II 40 k. — Zeszyt III 20 k. — Zeszyt IV 40 k. — Zeszyt V 30 k. — Zeszyt VI 40. — Zeszyt VII 20 k. — Zeszyt VIII 30 k. — Zeszyt IX 40 k.

Nakładem **Teodora Paprockiego i S-ki** NOWY-ŚWIAT  
KSIĘGARNI № 41.

wyszły z druku i są do nabycia we wszystkich księgarniach.

**Branki w Jassyrze**

Powieść historyczna z czasów najścia Tatarów na Polskę.

przez **DEOTYME** (J. Łuszczewską). Wyd. II-gie w 6 tomach

Cena rub. 6; w oprawie rub. 8, z oryginalnym rysunkiem wykonanym przez artystę-malarza Sawiczewskiego.

Wysyłka na prowincję za zaliczką pocztową.

Egzystuje od r. 1878. **Parowa Farbiarnia i Pralnia Chemiczna** Egzystuje od r. 1878.

p. f. **ŁUKOMSKI**

Warszawa, BRACKA Nr. 6.

Przyjmuje się do prania i farbowania garderobę damską i męską bez prucia, gobeliny, firanki, dywany, chodniki; odświeżanie mebli i apartamentów z gwarancją firmy w razie uszkodzenia. Specjalna maszyna, sprowadzona z zagranicy do dekatyzowania sukna, kortu, syberyjny i t. p. Pranie firanek, portyer, chodników przez specjalistów, których zakład wysyła na własny koszt.

Ceny niskie, lecz stałe.

SPECYALNA FABRYKA FARTUCHÓW I HALEK

**M. Raszkes i S-ka** Muranowska  
Nr. 14. 18



**„ALBUM SZTUKI POLSKIEJ”**

zaliczone przez ogół prasy polskiej do najwspanialszych i cennych wydawnictw ostatniej doby. Wydanie luksusowe w dużym formacie, na angielskim kredowym papierze, ozdobione 250 rycinami znakomitych malarzy, z tekstem artysty-malarza H. Piątkowskiego.

Cena rb. 12 w bogatej oprawie

z brzegami złoczonemi, z przesyłką pocztową rb. 13 kop. 50.



Nabyć można w każdej księgarni. Zamawiający u Wydawców w kantorze drukarni **PIOTRA LASKAUERA i S-ki** w Warszawie, Ś-to Krzyżka № 11, kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.